

PODCHORĄŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORĄŻYCH

REDAKCJA „PODCHORAŻEGO”

organizuje

Z RAMIENIA WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO-OŚWIATOWEGO

pod protektoratem

I-GO WICEMINISTRA SPRAW WOJSKOWYCH

gen. bryg. J. GŁUCHOWSKIEGO

Wystawę Fotografiki Wojskowej

Wystawa odbędzie się w drugiej połowie czerwca 1936 r. w Warszawie.

UDZIAŁ

w niej jest dostępny dla wszystkich fotografów amatorów (fotografowie zawodowi mogą w niej uczestniczyć poza konkursem) wojskowych oficerów, podchorążych, jak i podoficerów oraz szeregowców zarówno służby czynnej i rezerwy.

ILOŚĆ

nadesłanych prac jest dowolna. Rozmiar — nie mniejszy niż 13×18 cm.

WYSTAWA

będzie podzielona na dwie grupy: I. Grupę początkujących obejmującą ekspozyty nadesłane przez autorów, którzy dotychczas nie brali udziału w wystawach fotograficznych i II. Grupę zaawansowanych — do której zaliczeni będą autorzy, którzy już wystawiali swe prace

TEMAT

Do wystawienia zakwalifikowane zostaną prace, których temat związany jest z wojskiem. Zdjęcia mogą obejmować ujęciem życie żołnierza w koszarach, na kwaterach, na ćwiczeniach i w polu, na urczystościach i na urlopie i t. p. Mogą to być również ujęcia portretowe, fragmentaryczne. Tematem zdjęć mogą być części oporządzenia, broń (z uwzględnieniem tajemnicy wojskowej), wnętrza koszar, żołnierz i przyroda, sport w wojsku, współpraca z ludnością cywilną, życie organizacji P. W. Wystawa obejmować będzie również zdjęcia historyczno-legjonowe i z ostatnich wojen polskich oraz specjalny dział poświęcony życiu i pracy Marszałka Piłsudskiego. Zwrócić należy uwagę na artystyczne i pomysłowe ujęcie tematu.

NAGRODY

Przewidziane są liczne i wysokie nagrody pieniężne, przyczem wysokość pierwszej nagrody wyniesie prawdopodobnie 300 zł., a drugiej 200 zł. Wykaz nagród zostanie podany w następnych numerach „Podchorążego”.

REGULAMIN

Szczegółowy regulamin Wystawy podany zostanie w następnym n-rze „Podchorążego”.

TERMIN

nadsyłania prac na Wystawę — 1. VI 1936.

Wszelką korespondencję i zapytania o informacje w sprawie wystawy kierować należy pod adresem Redakcji „Podchorążego”.

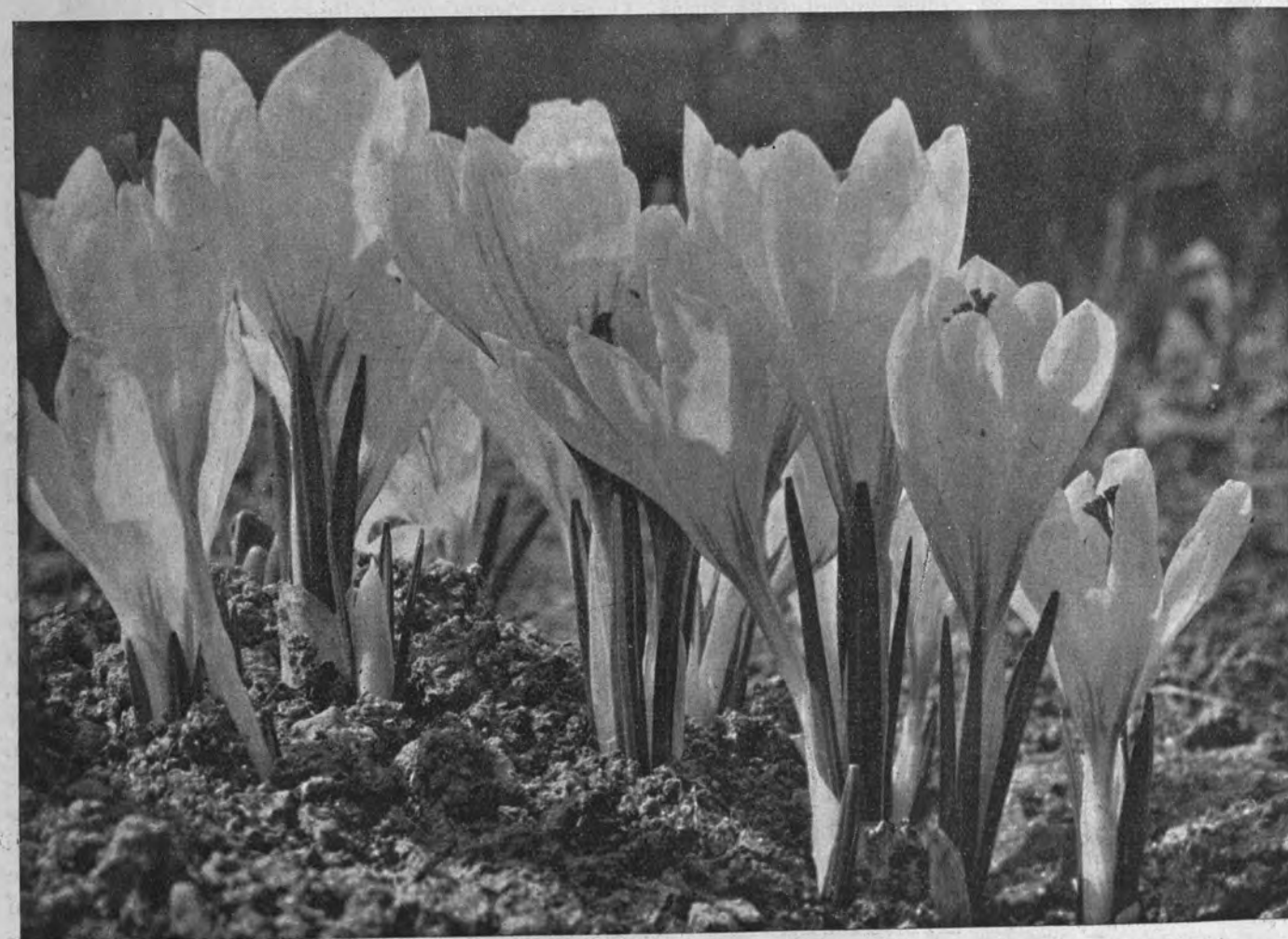
PODCHORAŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORAŻYCH

Nr. 14(87)

15 KWIETNIA 1936 R.

ROK V



JUŻ KWIĄTĄ KROKUSY

fof. St. Plater-Zyberk

ARMJA SOWIECKA W 18-tym ROKU SWEGO ISTNIENIA



Dowódca plutonu ciężkich czołgów.

Wiadomości o armji sowieckiej, które ukazują się ostatnio dość często w prasie i literaturze europejskiej są tak ułamkowe, sprzeczne, a przede wszystkim tendencyjne, że na podstawie ich niesposób sobie wyrobić właściwy pogląd na istotną wartość tej armji, jako narzędzia wojny.

Jedni widzą w niej bardzo potężny instrument wojenny, inni znów bardzo krytycznie zapatrują się na wartość bojową armji sowieckiej, przyczem jak jedni, tak drudzy, zdradzają w swych sądach powierzchowność, ogólnikowość i naogół słabą orientację co do istotnego stanu rzeczy.

Reprodukcje zdjęć fotograficznych oraz zestawienia liczbowe zaczerpnięte z dzienników i czasopism sowieckich, a mające na celu odzwierciedlenie potęgi technicznej armji sowieckiej, wprowadzić mogą w umysłach tylko zamęt, gdyż mało kto zdaje sobie sprawę, że te dowcipne fotomontarze i lamigłówki cyfrowe są tylko środkami po mistrzowski prowadzonej propagandy sowieckiej.

Garść szczegółów i uwag o armji sowieckiej, które zamieszczamy z okazji 18-lecia jej istnienia, mają na celu dopomóc czytelnikom do wyrobienia sobie własnego i prawidłowego sądu o sile zbrojnej państwa sowieckiego i jej wartości.

1. Charakterystyczne cechy ustroju armji sowieckiej.

Armja sowiecka posiada szereg cech, które ją odróżniają od armji innych państw.

Jedną z takich cech — jest klasowość armji sowieckiej, polegająca na tem, że dostęp do armji sowieckiej mają nie wszyscy obywatele państwa sowieckiego, a tylko klasa, będąca podstawą ustroju sowieckiego — robotnicy i biedniejsze włościanstwo. Pozatem klasowość armji sowieckiej polega i na tem, że armja ta nie jest narzędziem zbrojnym narodu, a nawet państwa, lecz narzędziem partji rządzącej, t. j. rosyjskiej partji komunistycznej. Partja ta na każdym szczeblu armji sowieckiej posiada swe ekspozytury w postaci bądź komórek wojskowo-politycznych, bądź komórek partyjnych, których zadaniem jest czuwanie, by całe życie i byt armji odpowiadał polityce partji komunistycznej.

Drugą charakterystyczną cechą jest ustrój mieszany armji sowieckiej. Polega on na tem, że posiada ona obok formacyj regularnych cały szereg formacyj terytorjalnych.

Jakaż jest różnica pomiędzy jednostkami regularnymi a terytorjalnymi?

Zasadnicze różnice występują pod względem:

- 1) systemu uzupełniania,
- 1) przebiegu służby wojskowej,
- 3) gotowości bojowej.

Jednostki regularne uzupełniają się z całego terenu państwa, gdy natomiast jednostki terytorjalne posiadają z góry ustalone rejony uzupełnień, zbliżone do miejsca postoju tych jednostek. Dzięki temu jednostki terytorjalne odznaczają się większą spoiwością moralną, niż jednostki regularne. Żołnierze bowiem pododdziałów, pochodzący z jednej lub paru sąsiednich, wsi znają się nawzajem, jednakowo myślą i czują oraz posiadają jednakowy światopogląd i zainteresowania. Jednostki regularne, jako istniejące stale o organizacji i stanach zbliżonych do wojennych, posiadają dużą gotowość bojową i są zdadne każdej chwili do użytku.

Jednostki terytorjalne są to raczej ośrodki szkolne posiadające tylko niewielką kadre i dla osiągnięcia gotowości bojowej muszą być uprzednio zmobilizowane. W czasie więc pokoju nie przedstawiają realnej wartości bojowej.

System terytorjalny jako system milicyjny, wymagający wysokiej kultury kraju i ludności, w warunkach sowieckich nie wytrzymał próby życia i dziś Sowiety stopniowo zarzucają go, przechodząc prawie całkowicie do jednostek regularnych. Gdy jeszcze do 1935 r. armja sowiecka posiadała 76%

dywizyj terytorjalnych, a tylko 24% — dywizyj regularnych, to obecnie stosunek ten przedstawia się odwrotnie.

2. Zasady służby wojskowej.

Służba wojskowa w Rosji sowieckiej przedstawia się nieco inaczej, niż w innych armjach.

Obowiązkowa służba wojskowa w armji sowieckiej obejmuje:

- 1) służbę przedpoborową,
- 2) „ czynną.
 - a) w jednostkach regularnych;
 - b) „ terytorjalnych
 - c) w trybie pozawojskowym.
- 3) służbę w rezerwie.

Do służby przedpoborowej obowiązana jest młodzież od 19 roku życia. W ciągu dwóch lat młodzież ta powoływana jest co roku na jednomyślną zbiórkę wyszkoleniową, podczas której otrzymuje elementarne wyszkolenie wojskowe i wychowanie fizyczne, zapoznaje się z dyscypliną i służbą wewnętrzną, pobiera naukę czytania i pisanja oraz uświadamiana jest pod względem politycznym.

Po ukończeniu 21 roku życia rozpoczyna się czynna służba wojskowa, która zasadniczo trwa 5 lat.

Jedna trzecia kontyngentu wcielana do jednostek regularnych, służy w nich nieprzerwanie 2 lata, poczem na okres trzechletni zwalniana jest na długoterminowy urlop, z którego może być każdej chwili powołana do szeregu. Daje to możliwość postawienia armji na stopę wojenną bez ogłoszenia mobilizacji.

Jedna trzecia poborowych wcielana do jednostek terytorjalnych w pierwszym roku swej służby odbywa 3-miesięczną zbiórkę rekrucką, po której zwalniana jest na długoterminowy urlop.

W drugim, trzecim, czwartym i piątym roku służby żołnierze jednostek terytorjalnych powoływani są na t. zw. ogólne zbiórki wyszkoleniowe trwające od 4 — 6 tygodni. W okresie więc pięcioletnim żołnierz, zależnie od rodzaju broni, szkoleny jest w szeregach od 8 — 11 miesięcy. Ponieważ jednak wyszkolenie to odbywa się okresami i z dużymi przerwami, nie daje więc takich wyników jak w jednostkach regularnych i żołnierz jednostki terytorjalnej jest wyszkolony daleko słabiej. W okre-

się między zbiórkami kadry jednostek terytorjalnych prowadzą dorywczą pracę wyszkoleniową w terenie, w miejscach zamieszkania żołnierzy.

Nadwyżka kontyngentowa, zdolna do służby wojskowej i wynosząca około 300.000, która nie mieści się w ramach jednostek regularnych i terytorjalnych, szkolona jest t. zw. trybem pozawojskowym. Wyszczolenie to polega na okresowych zbiórkach wyszkoleniowych. Ogółem w ciągu 5-ciu lat nadkontyngentowi muszą mieć za sobą 6 miesięcy zbiórek wyszkoleniowych. Oczywiście, że ich poziom wyszkolenia jest minimalny.

Podobny system szkolenia w armji sowieckiej odbija się odpowiednio i na ogólnej wartości jej rezerw.

Zapoznanie się z systemem służby w armji sowieckiej daje pojęcie o poziomie wyszkolenia w czasie pokoju jednostek regularnych i terytorjalnych. Za pełnowartościowe można uważać tylko jednostki regularne. Oczywiście, że po paru miesiącach wojny, gdy jednostki regularne i terytorjalne zaczną otrzymywać uzupełnienia z głębi kraju, różnice w ich poziomie wyszkolenia szybko się zatra.

3. Dowódcy sowieccy.

Na przestrzeni szeregu lat zauważyć można dużą pracę nad podniesieniem wartości dowódców sowieckich. Doniosłą rolę odgrywa tu szeroko rozbudowane szkolnictwo wojskowe.

Hamującym czynnikiem tej pracy jest naogół niski poziom kandydatów do szkół oficerskich, od których wymagana jest przede wszystkim przynależność klasowa i lojalność polityczna. Chociaż od kandydatów do szkół oficerskich piechoty i kawa-



Sowieccy cekaemiarze.

lerji wymagane jest zasadniczo ukończenie szkoły powszechnej, jednak przy protekcji partyjnej przyjmowani są do szkół ludzie prawie bez żadnego wykształcenia. Przy takim systemie 25% czasu szkolnego poświęcany jest na uzupełnianie wiedzy ogólnej uczniów ze szkół dla wykształcenia wojskowego. Przed wstąpieniem do szkoły oficerskiej kandydaci muszą przesłużyć rok w oddziałach wojskowych i ukończyć szkołę podoficerską.

Dużą uwagę zwraca się na rozwój wyższego szkolnictwa wojskowego i dziś armia sowiecka posiada 13 akademii wojskowych, ogólnych i technicznych oraz 6 fakultetów wojskowych w wyższych zakładach naukowych cywilnych. Wyteżona praca szkół wojskowych nie daje narazie armii sowieckiej dostatecznej ilości oficerów, zwłaszcza oficerów rezerwy. Zagadnienie to łągodzi do pewnego stopnia t. zw. wojenizacja wyższych szkół cywilnych. Studenci przed uzyskaniem dyplomu naukowego obowiązani są przejść pewnego rodzaju przysposobienie wojskowe i złożyć egzamin na dowódcę plutonu.

Poza tem znaczna część oficerów rez. rekrutuje się spośród jednorocznych oraz zdolniejszych podoficerów, którzy przy przejściu do rezerwy otrzymują stopień oficera na czas wojny.

Szkolenie podoficerów sowieckich odbywa się w oddziałowych szkołach podoficerskich, do których wybierani są zdolniejsi rekruci. Szkoła podoficerska trwa 10 miesięcy i ma za zadanie przygotowanie d-cy i instruktora drużyny.

Sytuacja d-ców sowieckich, jeżeli chodzi o ich autorytet dotychczas była dość trudną. Wprowadzone ostatnio w armii sowieckiej stopnie oficerskie przyczynią się do podniesienia tego autorytetu.



Sowiecka „piechota lotnicza“ lądująca do walki samolotów przy pomocy spadochronów.

4. Aparat polityczny armii sowieckiej.

Cechą charakterystyczną armii sowieckiej jest rozbudowany w niej aparat wojskowo-polityczny, mający za zadanie prowadzenie w armii pracy partyjno-politycznej, wychowawczej i oświatowej.

Zagadnienia te koncentrują się na szczeblu najwyższym w Zarządzie politycznym RKKA (Robotniczo-Włociańskiej Czerwonej Armji). Na szczeblu okręgu wojskowego — w okręgowych zarządach politycznych, zaś na szczeblu wielkich jednostek — w oddziałach politycznych. W takich jednostkach jak pułk istnieje aparat polityczny pułku, na czele którego stoi zastępca d-cy pułku do spraw politycznych. W skład aparatu politycznego wchodzi: pułkowe biuro partji komunistycznej, pułkowe biuro związku młodzieży komunistycznej, kluby, świetlice, szkoły oświatowe, personel nauczycielski, a więc wszystko to, co ma związek ze sprawą partyjną, polityczną, wychowawczą i oświatową w oddziałach.

Jednostki typu kompanji posiadają instytucję politruków (polityczeskich rukowoditelej). W plutonie, drużynie istnieją komórki partyjne oraz organizatorzy partyjni.

Znaczenie tego aparatu wojskowo-politycznego w armii sowieckiej jest b. doniosłe. Są to macki partji komunistycznej, które docierają do najniższych organizmów wojskowych, i które mają za zadanie wychowanie d-ców i żołnierzy w duchu rewolucji bolszewickiej, podniesienie dyscypliny i poziomu wyszkolenia bojowego w oddziałach.

5. Organizacja Armii Sowieckiej.

Tak duża armja jak armja sowiecka, licząca 1.300.000 ludzi i posiadająca 84 dyw. piechoty i 19 dyw. kawalerji musi mieć odpowiednio rozbudowany centralny aparat kierowniczy.

Na szczeblu najwyższym istnieje prócz Sztabu Generalnego, cały szereg samodzielnych departamentów i inspekcji poszczególnych rodzajów broni i służb, które podlegają bezpośrednio Ludowemu Komisarzowi Obrony ZSRR (Związku Socjalistycznych Radzieckich Republik).

Pod względem administracyjno-wojskowym cała Rosja sowiecka podzielona jest na 13 okręgów wojskowych. D-ctwom okręgów podlegają pod każdym względem wszystkie stacjonujące na terenie okręgu jednostki wojskowe. Sztab okręgu, dowództwo oraz szefostwa broni i służb są odpowiednio silnie rozbudowane.

Wielkie związki piechoty i kawalerji sowieckiej występują w postaci korpusów



Sowiecka służba pograniczna używa również jako środka łączności gołębi pocztowych.

strzeleckich i kawalerji. Każdy korpus liczy od 2-4 dywizyj i pewną ilość jednostek pozadywizyjnych (łączności, saperów, artylerji).

Charakterystyczną cechą organizacji jednostek sowieckich jest: 1) silna rozbudowa dowództw i sztabów. Sztaby występują do bataljonów włącznie; 2) organizacja pokojowa nie różni się od organizacji wojennej; 3) silnie rozbudowany aparat polityczny; 4) przeładowanie jednostek pododdziałami technicznymi i specjalnymi.

Pułk strzelców zaliczany jest w armii sowieckiej do wielkich jednostek piechoty. Składa się on z 3-ch bataljonów i dywizjonu artylerji, wyposażonego w 6 dział połowych kalibru 76 mm.

Ponadto sow. pułk strzel. posiada pluton konnych zwiadowców, pluton saperów, pluton łączności, pluton chemiczny i pluton ckm. pltn. à 4 ckm.

W bataljonie — 3 komp. strzel., komp. ckm., plut. artyl. baonowej à 2 działka piech. kal. 37 mm. i plut. łączności. W komp. ckm. — 3 plutony à 4 ckm. „Maxim’a“. W komp. strzel. — plut. dowodzenia, 3 plutony strzel. i plut. ckm. à 2 ckm.

Sowiecki pluton strzelecki składa się z 3 drużyn strzel. i drużyny garlaczy kb.

Każda drużyna strzel. posiada 1 rkm. Diegtiarewa i 8-10 strzelców. Stan drużyny garlaczy wynosi 1+6 oraz 3 garlacze kb. Djakonowa.

W organizacji piechoty sowieckiej (zresztą i kawalerji) uderzają b. niskie stany liczebne na szczeblach najniższych. Cała stawka położona jest na ogień, siła żywa, jako siła uderzeniowa, jest niedoceniana.

Sowiecki pułk kawalerji zasadniczo różni się od naszego tem, że posiada organiczną 3-działową baterję artylerji towarzyszącej. Składa się on ponadto z 4 szwadronów linowych i szwadronu ckm. à 16 ckm. Każdy szwadron posiada 4 plutony à 2 drużyny. Każda drużyna podzielona jest na 2 sekcje à 8 ludzi, sekcję rkm. i sekcję garlaczy kb. Ponadto pułk kaw. posiada półszwadron łączności, plut. sap. pluton chemiczny i pluton OPL (à 4 ckm. pltn.).

Sowieckie dywizje piechoty i kawalerji przypominają nasze wielkie jednostki piech. i kawalerji: jednak przeładowane są technicznymi oddziałami do tego stopnia, że tracą na swej zdolności manewrowej. Na uwagę zasługuje tendencja dodania tym związkom organicznych pododdziałów broni pancernej.

6. Wyszukolenie Armii Sowieckiej.

Poziom wyszkolenia armii sowieckiej stopniowo wzrasta. Przyczynia się do tego z jednej strony napływ do armji przeszkolonego nieco kontyngensu, z drugiej wydanie szeregu nowych instrukcji wyszkoleniowych oraz stosowanie uproszczonych metod szkolenia. Popularna do niedawna metoda szkolenia kompleksami, przy której żołnierz wprowadzony w pewną sytuację taktyczną musiał w trakcie prze-rabiania jej opanować poszczególne jej części skła-



Uświadczenie polityczne prowadzone jest również przy pomocy odpowiedniej lektury.

dowe, — została odrzucona jako zbyt skomplikowana. Dziś stosowana jest metoda opanowania poszczególnych czynności w walce, poczem przechodzi się do rozwiązywania zadań bardziej złożonych.

Praca przy tej metodzie nie daje jeszcze oczekiwanych rezultatów. Naprzykład elementy wyszkolenia strzeleckiego są opanowane dość dobrze, jednak jeżeli chodzi o stosowanie ognia, kierowanie nim w różnych fazach walki — odczuwa się dość duże braki.

Naogół — najlepsze intencje i plany organów kierowniczych załamują się na szczeblach niższych, ponieważ wykonawczy element, naogół bez inicjatywy i mało przygotowany, nie wywiązuje się należycie ze swych zadań.

7. Stan moralny armji sowieckiej.

Dzięki stałemu nadzorowi licznych organów wojskowo-politycznych i partyjnych — dyscyplina w wojsku sowieckim dziś, w czasie pokoju, stoi dość wysoko. Akcja uświadamiania żołnierzy posunięta jest daleko, jednak oddziaływanie to jest jednostronne, wyraźnie tendencyjne i oparte na ideologii marksistowskiej.

Ta ideologia w gruncie rzeczy dla przeciętnej masy żołnierzy jest i obcą i nie odpowiada ich psychice.

Zdaje się, że bolszewicy zrozumieli, że liczna i nawet dobrze wyposażona technicznie armja nie będzie dobrym instrumentem wojny i nie wygra jej, o ile za nią nie będzie stał naród, przeniknięty żelazną wolą zwycięstwa i miłujący nade wszystko swą ojczyznę.

Stąd też płynie konieczność oparcia wychowania żołnierza na innych niż dotąd przesłankach ideologicznych i hasła patriotyzmu i miłości ojczyzny — rzucane są przez bolszewików coraz częściej.

Łatwo było jednak te wielkie wartości duchowe zniszczyć w ciągu lat kilkunastu, natomiast odbudowa ich wymagać będzie b. długiego czasu.

Dopóki te wartości nie zostaną gruntownie w narodzie rosyjskim odbudowane — armja sowiecka nie może być uważana za pełnowartościowe narzędzie walki, mimo nawet silnego jej wyposażenia technicznego.

Na wojnie bowiem nie decyduje technika, a w pierwszym rzędzie człowiek i jego wartości moralne.

Z.

PRZYSPOSOBIENIE MOTOROWO-SPORTOWE W TRZECIEJ RZESZY

(Wszystkie dane rzeczowe i cyfrowe są w nin. artyk. publikowane po raz pierwszy w Polsce. Wszelkie prawa przedruku i radjofonizacji zastrzeżone).

Pierwszym etapem programu „totalnej motoryzacji” Rzeszy było maksymalne rozwinięcie przemysłu motorowego. Z jednej strony przemysł ten miał dostarczać drogich pojazdów o charakterze wyłącznie militarnym, z drugiej zaś, najtańszych, popularnych modeli pojazdów mechanicznych dla najszerszego użytku. Umiejętna polityka gospodarcza, ułatwienia dla nabywców i propaganda — zrobiły swoje. Olbrzymi aparat motoryzacyjny został stworzony i jest coraz szybciej powiększany. Z drugiej strony zaszła jednak potrzeba szybkiego szkolenia setek tysięcy specjalistów, którzyby obsłużyli w razie wojny tę skomplikowaną maszynę. Krótko mówiąc zaszła potrzeba wyszkolenia miljonowej armji *żołnierzy - kierowców*, którym sądzone będzie odegranie wielkiej, może decydującej roli w wojnie przyszłości.

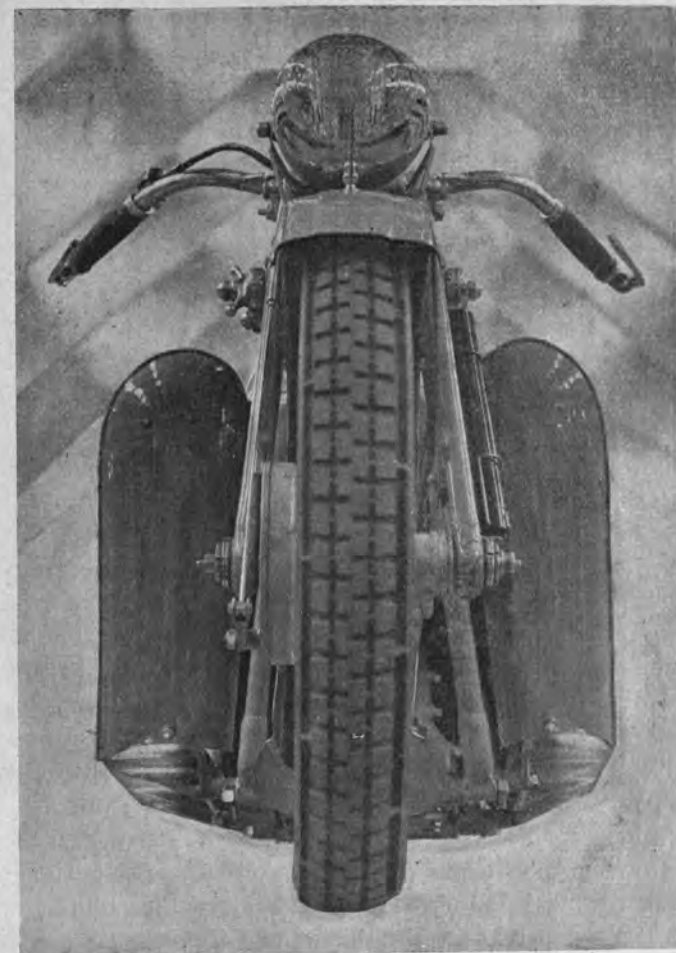


„Tylko dla sportu”...

Zagadnienie to było łatwe do rozwiązania jeśli chodzi o wyszkolenie „niewielkiej” liczby żołnierzy zmotoryzowanej armji czynnej. Niepodobna jednak „przepuścić” przez aparat szkolący setki tysięcy cywilów nieobjętych ramami armji czynnej! Z pomocą przyszedł sport i organizacje wojskowe tak silnie rozwinięte w Niemczech. Opracowano precyzyjny program akcji motoryzacyjno-„sportowej” (czytaj: militarnej). Polegał on na: 1) udostępnieniu masom motocykla, 2) rozbudzeniu ducha sportu motorowego i 3) ujęciu w żelazne ramy całego sportu motocyklowego i samochodowego, oczywiście w ramy szkolenia militarne.

Wszystkich ludzi związanych z motoryzacją (przez posiadanie jakiegoś pojazdu), a także nawet i sympatyków „podzielono” na dwie grupy: sportowców t. j. tych, którzy ograniczą swoje przeszkolenie do udziału w imprezach „sportowych” i tych, którzy będą chcieli i mogli odbyć kurs przeszkolenia motorowo-wojskowego w jednej z 2 szkół motorowych prowadzonych przez NSKK czyli Narodowy Korpus Kierowców Motorowych. *Wszyscy prawie bez wyjątku posiadacze pojazdów motorowych są obecnie zrzeszeni albo w NSKK albo w DDAC (Automobil-Klub Niemiec).*

Do Korpusu Kierowców należą przeważnie robotnicy z przemysłu technicznego, posiadający najczęściej motocykle. (W Rzeszy już za 220 RM można dostać mały motocykl, a wartość nabywca marki przecież prawie równa się wartości złotego!) Każdą wolną chwilę obracają oni na ciekawe i przynoszące dużo zadowolenia jazdy grupowe, solowe i naukę „przedmiotów” ściśle wojskowych w odpo-



Nowy 4-ro biegowy motocykl Victorja (500 cm) z tegorocznej międzynarodowej wystawy samochodowej w Berlinie



...i własnej przyjemności”

wiednich świetlicach, strzelnicach i warsztatach. Według danych francuskich Korpus Kierowców liczy dziś przeszło pół miliona czynnych członków. Korpus ten dzieli się na 4 inspekcje, 3 „grupy motorowe” i 21 brygad. Każda zaś brygada składa się z 3 lub 4 „regimentów motorowych” (standarte). Regimenty zawierają 3 lub 4 „bataljony” (staffeln). Wreszcie „bataljon” ma kilka kompanij. *W brygadzie rejestruje się do 3,5 tysiąca kierowców.* Ogółem zaś NSKK liczy 153 regimenty motorowe. W ramach Korpusu Kierowców znajdują się samodzielne grupy pionierów, sanitariuszy, wywiadowców, wreszcie kolumny przeciwgazowe i łodzi motorowych.

Na czele tej armji stoi popularny kierownik korpusu Hühlein, wielki protektor sportu motorowego, postać interesująca i niestety nie mająca w Polsce odpowiednika... (Do Hühleina należy jednocześnie nadzór i kierownictwo ONS — Oberste National Sportbehörde, Naczelnej Nacjonalistycznej Władzy Sportowej). Hühleinowi są podległe cztery inspekcje (Wschodnia, Zachodnia, Półn. i Połudn.) z których każda ma odrębne wytyczne i różne siły... Kierownictwo brygad mieści się w 21 najważniejszych miastach Rzeszy, przyczem należy podkreślić, że

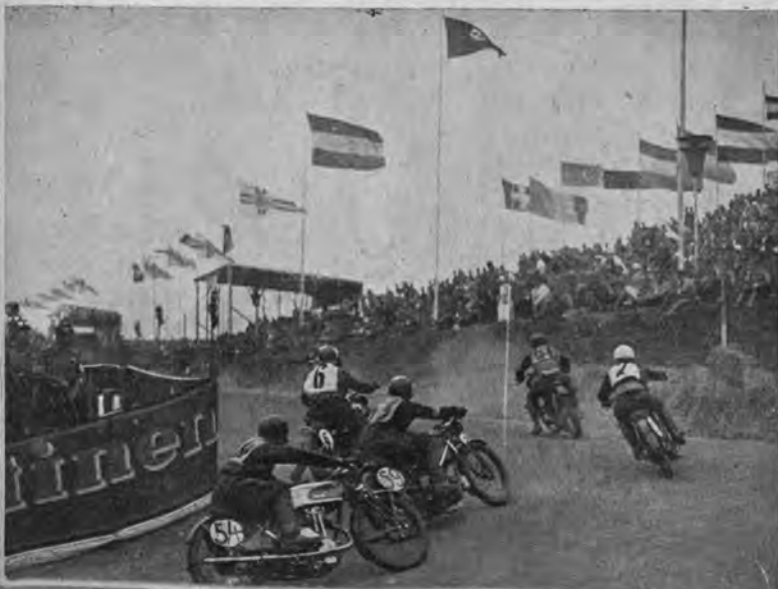
Gdańsk i Prusy Wschodnie, Śląsk oraz pogranicze austriackie są wydzielone ze schematu i mają samodzielne kierownictwo (są to: *selbständige motorgruppen*). Grupa „*Ostland*” (t. zn. Gdańsk i Prusy Wsch.) zawiera aż 9 regimentów, czyli liczy 27 tysięcy ludzi. Grupy te mają specjalne misje do wykonania w razie wojny.

Korpus Kierowców rozporządza 160 tysiącami pojazdów. Przeważają *motocykle*. Oprócz tego korpusowi użyczają w razie potrzeby swego taboru: wojsko, koleje i poczta. Członkowie NSKK nie posiadający pojazdów korzystają z sprzętu stanowiącego własność korpusu, a ofiarowanego i uzupełnianego przez *przemysł*. Korpus Kierowców prowadzi specjalną szkołę *instruktorów motorowych* oraz pozostaje w ścisłym kontakcie z takimiż szkołami państwowymi. Poza to każda brygada motorowa, każda grupa samoch., prowadzi po 1 *szkołę sportu motorowego*. Szkolenie trwa sześć tygodni i obejmuje rzeczywiście gruntowne zaznajomienie się z pojazdami i używaniem ich w najcięższych terenach. Szkoły te posiadają przeciętnie: 25 motocykli (6 solówek) trzy „terenowe” ciężarówki i 5 wozów wojskowych również terenowych. Szkoły przygotowują „narybek” dla pancernych oddziałów armji. Tego „narybku” dostarczają szkołom oddziały młodzieży hitlerowskiej spośród której wybiera się zdolniejszych sympatyków sportu motorowego.

Do chwili obecnej szkoły Korpusu, wyszkoliły około 20 seryj uczniów! A należy podkreślić, że o przyjęciu do szkoły *nie decyduje posiadanie auta czy motocykla*. W ten sposób szkolenie obejmuje przeważnie młodzież *warstw niezamożnych*, która nigdy nie nabyła sobie motocykla, a więc siłą rzeczy pozostała *bez najprostszego nawet „wyszkolenia” motorowego*.

Równie ważną rolę w przysposobieniu motorowem odgrywają liczne imprezy „sportowe” urządzane bądź przez NSKK, bądź przez Automobil-Klub bądź przez Naczelne Władze Sportowe (tych ostatnich jest najwięcej). Ogólnie imprezy te można

torowe cieszą się wielką popularnością i dużą frekwencją publiczności



Prowizoryczny park motocyklowy w Lipsku w czasie wielkich zawodów „2.000 klm. poprzez Niemcy”

podzielić na trzy grupy: 1) imprezy ściśle sportowe (wyścigi na torze, próby bicia rekordów), 2) imprezy o charakterze zawodów raidowych z klasyfikacją indywidualną i 3) raidy specjalne z klasyfikacją zespołową. Oczywiście zawody grupy pierwszej są dostępne wyłącznie dla „specjalistów” startujących na maszynach *nieseryjnych* i jakkolwiek mają one duże znaczenie propagandowe to jednak w masowym przysposobieniu społeczeństwa nie odgrywają większej roli. Zawody grupy „2” i „3” cieszą się natomiast ogromną popularnością wśród najszerszych warstw społeczeństwa i *stanowią trzon prac wyszkoleniowych*.

Uczestnictwo w nich jest ograniczone minimalnie to też mają one nieraz charakter manewrów w których bierze do 150 jednostek motorowych wszelkiego rodzaju, od motocykla począwszy, aż do 10 tonowych wozów ciężarowych... (bo i takie są zgłaszane przez fabryki lub brygady NSKK!). Zawody te polegają na: jeździe terenowej, górskiej, patrolowej, „za lisem”, za balonem, jeździe w nocy, raidach z meldowaniem się w oznaczonych na mapie punktach i t.p. Do najciekawszych i najtrudniejszych jazd należą: „*Zimowa Jazda*”, „*Jazda Wsch-Pruska*”,



Fragment z 3-dniowych zawodów terenowych w górach Harcu

„*Międzynarodowa Jazda 6 dniowa*” i „*Międzyn. Jazda Alpejska*”. W tegorocznej „*Jeździe zimowej*” brały udział 64 zespoły „*Korpusu*” „*Auto-Klubu*” i... wojska. Do celu przybyło w pełnym składzie i z przewidzianą punkcją 41 zespołów. „*Jazda*” ta polegała na przebyciu dziennie do 600 km. (ogółem 1640 km.) i zameldowaniu się w 51 punktach. Trasa nie była oznaczona. Zachęcić to miało do jazdy „na przełaj” i porzucania luksusowych betonów. *Ogółem w jeździe startowało 340 zawodników*. Obok terenowych ciężarówek przybyły do celu małe motocykle (mimo gołoledzi i zawieji) zdając tem samym najcięższy egzamin sprawności i użyteczności dla celów... niekoniecznie czysto sportowych.

Każda „brygada motorowa” czy samodzielna grupa NSKK urządza rocznie kilka zawodów lokalnych. Jednocześnie Auto-Kluby (jest ich 22!) organizują rocznie około 30 zawodów lokalnych i kilkanaście ogólnokrajowych wreszcie kilka międzynarodowych... W sumie, wraz z imprezami urządzanymi przez „*Hitler Jugend*” urządza się w Rzeszy około 250 zawodów motorowych rocznie. (Przeważają zawody motocyklowe). W ten sposób utrzymuje się wszystkich zrzeszonych „motorowców” w „formie

gotowości obronnej”, wciąga się w „*wirkonkurrenzi*” podnieca ambicję sportową i zmusza do osiągania coraz lepszych wyników w kształceniu zmysłu orientacji i zachowywaniu „*zimnej krwi*”.

Koszty „*wpisowego*” do zawodów są minimalne. Dużą część wydatków pokrywają subsydia państwowe i... przemysłowe. Bowiem przemysł łożąc na sport motorowy zyskuje ostatecznie więcej aniżeli wydając na cześć nieraz i nieskuteczną często reklamę. *Organizacje motorowe Rzeszy zostały oficjalnie uznane za najlepszy czynnik propagandy motorowej i wojskowej*. To też także społeczeństwo chętnie łoży na ten cel, bądź gotówką, bądź darami w naturze (choćby ustanawiając cenne nagrody dla zespołów).

Korpus Kierowców spełnia jeszcze jedną misję. Jest to współdziałanie z przemysłem w zakresie *jazd próbnych* (nowe modele motocykli i aut) w terenie i na drogach bitych ewt. autostradach. Specjalne zasługi w tej dziedzinie położył NSKK przeprowadzając 8 tygodniową (!) *jazdę próbną ciężarówkami z motorami na paliwo zastępcze* (gazogeneratory na gaz drzewny i t. d.), Próba ta wypadła notabene doskonale. Nowe typy motorów niebenzynowych są od tego czasu uważane za „*odpowiedzialne militarne*”.

Nie trzeba dodawać, że tak NSKK jak i Auto-Kluby pozostają w ścisłej łączności z wojskiem. Niektóre zawody jak np. „*Jazda zimowa*” były i są kontrolowane przez *umundurowanych oficerów z oddziałów zmotorizowanych*. Jednym słowem organizacje „*motorowe*” mają charakter ściśle wojskowy. W szeregu imprez NSKK uczestniczyło często do 70 procent wojskowych (przeważnie tych formacji, które narazie nie są jeszcze zmotorizowane), a niektóre imprezy te same organizacje zostały zaliczone do „*nieoficjalnych ćwiczeń wojskowych*”. Polegały one m. innymi na trudnych zadaniach przeładunkowych, inżynierskich (próba nośności mostu), transportu oddziału wojska i przebyciu rzeki przy pomocy pontonów... Były to jednak zawody dla wybranych.

Ciężka jazda terenowa dla celów „sportowych”



Dalszy program prac motoryzacyjno obronnych przewiduje powiększenie ilości brygad motorowych (a więc i szkół) i zwiększenie liczby członków NSKK do miliona. Nowe zarządzenia finansowe wprowadzające instytucję pożyczek dla urzędników na cele kupna pojazdu mechanicznego i nowy kierunek w przemyśle motorowym (niemiecki „fordyzm”) mają w krótkim czasie doprowadzić do osiągnięcia trzech milionów pojazdów prywatnych (wraz z ciężarówkami). Zanim jeszcze zostanie wyprodukowany „ludowy samochód” cała armja pomocnicza będzie mogła być załadowana na pojazdy mechaniczne i w razie mobilizacji dostawiana do odpowiednich punktów. Plan mobilizacji przewiduje przytem, że część zespołów jednostkowych (1 kierowca + jego pojazd) automatycznie ma się zjawić w oznaczonym punkcie. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o motocyklistów. A więc możnaby przeprowadzić pewną analogię pomiędzy średniowieczem i wiekiem motoryzacji: pradziadowie stawali w potrzebie wojennej na koniu, my dziś winniśmy stanąć na motocyklu! Wojna totalna tego bez względu wymaga.

Z ŻYCIA SZKOŁ

Z BRZEŚCIA NAD BUGIEM

Szkoły mojej nigdy nie zapomnę, bo ze szkół wyniosłem bardzo dużo — miłość do Marszałka. Tak nas w szkole uczono — tego uczył i wymagał dyrektor-żołnierz. Uczyłem się życia i czynów Marszałka — urządzaliśmy akademie, uroczystości. — Jednak takie to było jakieś — normalne.

Coś się dopiero zmieniło w wojsku.

Kiedy? Wtedy, gdy szedłem wśród warkotu werbli żałobnych; gdy wśród ciszy miasta słychać było równy, mocny krok i mocne bicie serc w takt werbli.

Pierwszy żałobny capstrzyk.

Takbym wtedy chciał mocno, sprężystym krokiem przejść przed Nim — spojrzeć w Jego oczy. Mocno — jak mię uczono.

Wyszedłem z jednej szkoły do drugiej. Jakaś nie wiąże szkołę moją i mój Kurs Podchorążych. Co to za nie — zrozumiałem dopiero dziś — gdy w dzień Imienin Marszałka zebraliśmy się wszyscy — D-ca, — oficerowie — i my. Wytworzyła się odrazu jakaś atmosfera nadzwyczaj wzniosła — a miła, łącząca serca i myśli. Znalazłem się we wspólnej żołnierskiej rodzinie — jak w szkole.

Krótko przemówił do nas D-ca — p. kpt. Badziąg — padły żołnierskie słowa rozkazu Gen. Insp. Sił Zbr. o Marszałku. Pięknie przemówił st. strz. z c. Braś.

Program niemieckiej motoryzacji i przysposobienia sportowego oparto w pierwszym rzędzie na popularyzacji najprostszych pojazdów: *taniego motocykla i małego auta*. Te dwa pojazdy stały się w ciągu czterech lat podstawą planu mobilizacyjnego Rzeszy i znakomitego powiększenia sił armji.

Sport motorowy, jako najważniejszy dziś (po lotnictwie) ze wszystkich sportów popularnych, jest we wszystkich państwach Europy przedmiotem czulej opieki władz. Dowodzi bezdennej głupoty i zacofania dopatrywanie się w tym sporcie drogiej i asocjalnej rozrywki wybranych. Niemcy i Anglja dowiodły niezbicie, że sport ten może być udziałem milionów i, że może być tańszy od systematycznego pijaństwa i bezmyślnej gry „w totka”.

Sport motorowy musi i w Polsce, w najkrótszym czasie wejść w zakres wychowania młodzieży. Okoliczność ta w dużym stopniu wpłynie na mechanizację aparatu obronnego. O rozwoju tego sportu zadecyduje ogólna polityka motoryzacyjna.

podchor. rez. Bolesław Andrzejowski.

Otwarty w ciszy, — wśród bicia serc tylko — nasz „Kącik Marszałka” jaśnieje kolorowymi lampkami — tonie w kwiatach. W naszej świetlicy jest Marszałek. Obserwuje wchodzących do świetlicy. Postać mimowoli się pręży — nikt nie krzyczy, nie śmieje się, nie pali. Cisza. Jest Duch.

W mojej szkole małe dziewczynki — młode harcerzyki przystrajają pomnik Marszałka. Tu każdy ciśnie się — byle chociaż kwiatek postawić, byle kurz zetrzeć.

Mamy dobry wzór jak mamy pracować jako oficerowie rezerwy w organizacjach.

Zrozumiałem jak wielka idea Marszałka łączy wszystko — szkołę — wojsko — społeczeństwo.

Myśmy to wszyscy zrozumieli.

Mamy mieć w sercach nasze „kąciki Marszałka” — w których Idea — Duch Praca.

Dalszy ciąg uroczystości Imieninowych odbył się w świetlicy 82 p.p. na uroczystej akademii, w której wziął udział korpus oficerski z d-cą pułku p. pptk. dypl. Wilochem, „Rodzina Wojskowa” i Kurs Podchorążych. Po zagajeniu akademii — d-ca pułku dokonał otwarcia „Kącika Marszałka” w świetlicy pułkowej.

„Kącik Marszałka” w świetlicy Podchorążówki w Brześciu n/Bugiem

Wskazując na pięknie przystrój szarfami tablicę, zachęcił żołnierzy do brania wzoru w pracy i służbie — z wielkiej Postaci Marszałka.

Następnie chór Kursu Podchorążych odśpiewał kilka pieśni legjonowych — strz. z cenz. Kubik wygłosił wiersz — który chwycił za serca.

Na zakończenie odegrana została sztuka p. t. „Więzień Magdeburga”.

Czy Kresy Wschodnie nie idą naprzód?

St. strz. z cenz. W. Kawalec.

Brześć n/Bug.



fol. Kogut

wojskowe, Zw. Strzeleckiego, P. W., Sokoła, P. W. K., P. P. W. Leśników, Zw. Rezerwistów, klubów narciarskich, szkolne i t. p. — tworzą dziś jedną wielką rodzinę.

Na wyniosłem miejscu, gdzie stał dom Piłsudskich, panuje dziś na rzeźbionym z łoża cokole popiersie Tego, któremu dziś narciarstwo składa w głębokim skupieniu milczący hołd.

Prezes P. Z. N-u, Min. Bobkowski wyraża uczucia, jakie nas wszystkich tu zebranych nurtują — poczem syrena kierownika zawodów wzywa narciarzy na start do etapu powrotnego Żułów — Podbrodzie. Wszędzie, gdzie mijamy sadyby ludzkie ludność wylega tłumnie na drogi, okazując

nam dużą sympatię i zainteresowanie. Widać, że dzisiejsze nasze przeżycia nie są udziałem tylko nas samych. Ziemia Wileńska, która tak ukochała Marszałka, wyraża dziś razem z nami swe uczucia... Odczuwamy to na każdym postoju, przy każdym zetknięciu się z ludnością.

Pięknym, urozmaiconym terenem, biegnącym falistemi grzbietami zbliżamy się do Podbrodzia. Nie spodziewają się tak szybko przybycia pierwszych patroli. Bo rzeczywistość czasu są doskonałe, mimo dość uciążliwego obciążenia (karabin, ładownica i plecak z zawartością). I to nietylko czasy faworytów ale i tych, którzy kończą korowód patroli. Mroźna zima wileńska nie poskąpiła startującym narciarzom rozkoszy sportu narciarskiego. Królestwo zimy znalazło tu godną swego majestatu szatę. Z rozpromienionem i pogodnem obliczem pobudzało nasz wysiłek na szlaku raidu.

A był to wysiłek niezwykły, bo 90 km. na nartach przy przeciętnym czasie 10 km. na 1 godzinę, to naprawdę piękny wyczyn.

Punktacja pierwszego dnia przyniosła zasłużone zwycięstwo patrolowi Zw. Rezerwistów z Istebnej z doskonałym narc. Haratykiem na czele — 2-gie zajął zwycięski w ostatecznej punktacji patrol Zw. Strzeleckiego z Zakopanego prowadzony przez mistrza Polski Karpiela. W kategorii zespołów wojskowych startowały także 2 patrole Dywiz. Kursy Podchor. Rez. z Grodna i Krakowa. Na ogólną ilość

NARCIARSTWO SKŁADA HOŁD KOMENDANTOWI

Imponujący był widok, gdy w blaskach zimowego słońca na tle zacisza otoczonego wieńcem tonących w srebrzystej bieli pagórków, wyciągnęły się długim szeregiem przybyłe ze wszystkich stron Rzplitej zespoły patroli narciarskich, by złożyć hołd Wskrziesicielowi Państwa i Pierwszemu Protektorowi Sportu Polskiego.

Tu w Żułowie, gdzie dziś manifestuje polskie narciarstwo swą wielką tężyzną i przywiązanie dla Wodza — Tu, przed sześćdziesięciu i 9-ciu laty ujrzał światło dzienne Genjusz Narodu.

Jest jeszcze jeden człowiek w Żułowie, którego przygarbioną głowę pokryła gęsta siwizna, a który pamięta „Pona Józefa” z pierwszych lat dziecięcych. Ten starzec jest dziś przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Zmącono majestatyczną ciszę Żułowa. Zaroiło się od braci narciarskiej, której przybyła tu imponująca ilość, bo około 200-ście (43 zespoły po 4 zawodników każdy). Różnobarwne kostjmy tworzyły barwną mozaikę na białej szacie śnieżnej. Nie brakło na starcie nikogo — był to naprawdę imponujący przegląd naszego dorobku narciarskiego; Patrole



Narciarze w Żułowie

fol. Zacharjasiewicz



Patrol podchorążacki z Grodna na starcie

43 zespołów, Podchorążówka grodzieńska zajęła 15-te miejsce a 5-te w konkurencji wojskowej — wynik jak na silne konkurencje i dobrze przygotowane zespoły b. dobry. Kraków miał mniej szczęścia, ale zato zwracał uwagę na siebie efektownymi białymi kombinizonami — złośliwi mówili, że właśnie te kombinizony utrudniały sympatycznym krakowiakom ruchy. Pełni najlepszych nadziei startowaliśmy do drugiego etapu rajdu Podbrodzie — Niemenczyn — Wilno (52 km.) — ale jak pech to pech — na 4 km. przed Wilnem spowodu skurezu mięśni u jednego z naszych towarzyszy zmuszeni byliśmy (Podchorążówka grodzieńska) wycofać się z zawodów — i to mimo, że całą trasę szliśmy w doskonałym tempie i dobrej formie! Kraków solidaryzował się z nami, bo jeden z zawodników odmroził sobie ręce co spowodowało zwłokę na trasie i spadnięcie na ostatnie miejsce... Trudno nie wszyscy mogą być pierwsi...

Mimo tych niepowodzeń nie spieszyliśmy się zupełnie — obiecaliśmy sobie z Krakowem na rozdaniu nagród w Kasynie Oficerskiej w Wilnie, że przeprowadzimy propagandę po powrocie do swych Kursów, by nasi następcy podtrzymali tradycję naszego startu w tak pięknej imprezie — tylko po lepszym treningu no i...



Na trasie

fol. Zacharjasiewicz

Trudno nie wspomnieć o organizacji przy zakrojonej na tak dużą skalę imprezie. Wbrew wiadomościom jakie tu i ówdzie czytałem, uważam, że całość stała na poziomie. Zawodnicy wszędzie spotykali troskliwą opiekę. Tak w Podbrodzu w koszarach 4 Daku jak i w Zułowie czy Niemenczynie wszystko było na czas przygotowane. Naszym „Kopistom” należą się specjalne słowa uznania. W Niemenczynie podawali zawodnikom do stołu zawodowi podoficerowie. Brawo Kopiści!

Moje wrażenia nie byłyby zupełne, gdybym pominął miłą przygodę przed metą w Wilnie.

Jadąc trasą uwagę moją odwrócił dźwięczny głos jakiejś narciarki zapytujący pod moim adresem „czy to nie Podchorążówka krakowska?” Znalazłem się w kropce, przypominałem sobie bowiem, że będąc właściwie gente cracoviensis mogę śmiało reprezentować i Kraków i Grodno — do wyboru...

Interesująca zjawą w miarę jak przestrzeń między nami zmniejszała się — była widocznie zażenowana. O ile już po tych kilku słowach zaimponowała mi swą „odwagą”, to naprawdę nie wiedziałem już z jakim zachwytem wyrażać się w Wilnie, w którym nota bene byłem poraz pierwszy, gdy zaofiarowała mi ze słodkim uśmiechem na pokrępienie cytrynę (pomarańczę podobno nie było w pobliskim sklepie) — proszę sobie wyobrazić jakie przemiłe są te Wilnianki —

pierwsza, którą spotkałem od razu podbiła moje serce — w Grodnie oto stanowczo trudniej, przypuszczam, że zgodzą się ztem moi koledzy z cenzusem.

Wzruszony nie mogłem nic więcej przyrzec owej reprezentantce płci pięknej Wilna, jak to, że napiszę o tem do „Podchorążego” — by choć tą drogą dowiedzieli się koledzy krakowianie jaką sympatią cieszą się w Wilnie... oczywiście o ile cenzura redakcyjna okaże się pobłażliwą...

st. strzel. z cenz. Wł. Zacharjasiewicz.

CHORĄGIEW WOJSKOWA DROGOWSKAZEM

Z żałobnych uroczystości ku czci Wielkiego Marszałka — Głęboki hołd ceniom Bohaterskiego Wodza.

W drugiej połowie marca cała Polska obchodziła żałobne Imieniny Nieśmiertelnego Wodza i duchowego Przewodnika niepodległej Polski.

Z ust podchorążych nie wyrwał się żaden podniebny, radosny okrzyk. Dobre, szlachetne oczy Marszałka nie patrzyły na tłumy składające życzenia i manifestujące na Jego cześć.

Surowe i mocne oczy zamknęły się na zawsze. Powstał wśród nas Duch i twarda pamięć Człowieka o wielkiej skali historycznej. Testament Marszałka przypominał nam P. Prezydent Rzplitej... W centrum miasta — na Starym Rynku ustawiły się oddziały wojska. Z megafonów popłynęły słowa reprezentanta Majestatu Polski, odzwierciedlające chwałę i sławę Mocarza Czynu. A potem w zmierzach wieczoru uleciał nabożny pacierz Anioł Pański, odmówiony za duszę Józefa Piłsudskiego.

Nazajutrz rano Kurs Podchorążych wraz z 62 p. udał się na nabożeństwo żałobne. Kwadrat dziedzińca artyleryjskiego u wylotu ul. Gdańskiej zapelnili się kompanjami, baterjami i szwadronami. Młode pokolenie wojska stawiało się w komplecie. Jest więc Szkoła Podchorążych dla Podoficerów pod komendą p. pułk. Szwarcenberg-Czernego, Szkoła Pehr. Lotnictwa, którą dowodzi p. mjr. Bęczowski oraz Kurs Pehr. Rez. świetnie prezentujący się pod dowództwem p. mjr. Bartoszewicza.

Na olbrzymi plac spłynęła wielka rzeka oddziałów wojskowych, władz, organizacji, społeczeństwa. Wszyscy pręgnąc się razem z armją pragnęli w zastygłej ciszy złożyć poświęcony hołd — Temu, co do niedawna czuwał za wszystkimi.

Potężne wrażenie wywarł rozkaz Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, gen. dyw. Rydza-Śmigłego. Szeroka fala żołnierzy naocześnie otworzyła swe serca i przyjęła niezmiernie proste i niezmiernie piękne słowa Spadkobiercy obecnego Naczelnego Wodza:

„Kierując się piękną ambicją w pełnieniu obowiązków ducha żołnierskiego — wywiążemy się najgodniej z długu wdzięczności dla Marszałka za sławę zwycięstwa. A sztandar wojskowy stanie się nieomylnym drogowskazem dla państwowej myśli całego społeczeństwa”.

Dobiegła końca msza, celebrowana u ołtarza polowego. To znak do odmarszu. W świetlicach żołnierskich i w salach wykładowych odbył się dalszy ciąg uroczystości hołdowniczych. Na pogadankach i akademjach rozważano zasługi Twórcy Armji i Odnowiciela Państwa.

Obchody ku czci najświetniejszej postaci naszych dziejów przestały nas już karmić ogólnikami i frazesami. Tak było za czasów sztubackich. Siłę armji, jej zdolności i sprawności poznaliśmy zbliska. Serca rozpięta nam duma, że należymy do tego twardego zakonu bojowego, któremu wry-



Komendant Szk. Podch. dla Podoficerów płk. Szwarcenberg-Czerny inspekcjonuje loty motorowe swych wychowanków

to w mury złote słowa: „Honor i Ojczyzna”. Dla nas młodych uczniów — dowódców parę dni w roku, podczas których składać będziemy zewnętrzny hołd Marszałkowi zawierają żywą i aktualną treść. Istotny sens tkwi w myślach i książkach Marszałka, które starajmy się przyswoić. Czerpiąc z tak bogatego rezerwoaru wiedzy wojskowej, politycznej łatwiej nam będzie wyrwać się z zaułka lub ślepej uliczki — w którą nieraz początkujący dowódcy wpada.

A pasmo znojnego żywota Marszałka niech nam dodaje energii do bezinteresownego oddania się Państwu i Ojczyźnie. Marszałek dokonywał wielkich posunięć w najcięższych chwilach, w najtragiczniejszych warunkach. Młodzi dowódcy winni pamiętać o harcie i stuprocentowym poświęceniu się dla służby i przełożonych w każdej godzinie życia.

D. K. P. R.
Bydgoszcz

St. strz. z cenz.
B. Nuszkowski

KNYPEL NA SIEBIE, DAJ GAZU!

Nadeszły wreszcie cudne wiosenne dni, a z nimi żywiej zabiło serce, zagrały nerwy, a dusza zdająca się na skrzydłach prosto szybować w przestworza błękity, dość wzgardliwie spogląda na ziemskie padoły — marzy — i coś nieosiągalnego tęskniami upatruje oczyma.

„W górę młode orlęta, w górę — wszak skrzydła wasze już zdolne do lotu” oto hasło które zabrzmiało na terenie Bydgoskiej Szkoły Podchorążych i całego bydgoskiego okręgu. Na to czekaliśmy już dawno. Bo oto nadeszła chwila, kiedy przygotowanie teoretyczne miało nam teraz wykazać jak niewiele trzeba jeszcze pracy, aby latawca szybowcowego kategorii choćby tylko „A” przeobrazić na pilota motorowego.

Jesteśmy w tem szczęśliwym położeniu, że wszyscy posiadamy dyplom szybowcowy kategorii „A”, a przed nim trochę mniej lub więcej przyjemnych lądowań, czy trawersów, które także dają ten plus, że latający szybownik na samolocie nie obawia się ani podrywów, ani wpadów lub innych „wyskoków maszyny”, ale siedzi spokojnie i myśli nad sposobem reagowania na nie.

21.III t. j. w sobotę popołudniu wywieziono nas, pchor. III rocznika autem ciężarowem na bydgoskie lotnisko Centrum Wyszkozenia Technicznego Lotnictwa. Co za radość! 6 maszyn czeka na start — słychać miarowe warkoty śmigieł, gdzieś tam dalej zawarczy motor na pełnym gazie, by potem znowu przejść do swego „moderato tempa”.

Z całym zapalem wyskakujemy z naszego ciężarowca i „galopem” biegniemy powitać śmigłe maszyny, które nam za chwilę mają dać pierwszy „na większą skalę” chrzest powietrza. Na startie rozpoznajemy dwa typy, a mianowicie: piękny bojowy, srebrzysty „Lublin” R. XIII pospolicie „Erem” zwany, oraz turystyczną, maleńką, znaną i kochaną R. W. D. zdaje się 8.

Mnie przeznaczono do „Era”. Za chwilę byłem już mocno skrępowany pasami spadochronu, w haubie i okularach, przywiązywano mnie do siedzenia.

Kolega Pfeiffer miał mi dać ów chrzest; wziął pełny gaz, a jego wprawna ręka starego wyjadacza powietrznego, równiutko podciągnęła maszynę nad miasto. Start i uniesienie się w powietrze odbyło się jak sen, jak coś, czego dostrzec niepodobna.

Lecieliśmy poziomo. Na moim altimetrze odczytałem 650; co za piękny i rozległy widok.

Nad naszą Szkołą zrobiliśmy parę spirali — wszystko w dole takie maleńkie — ujeżdżalnie, baraki, budynki, tory, drogi — (zastanawiałem się, w jakiej mogłoby to być skali), a tak wszystko widoczne. Przypomniał mi się nasz stół plastyczny w sali taktycznej i groźny nad nim i nami stojący wykładowca taktyki. Ktoby powiedział, że na 650 mtr. — w stanie takiej szczęśliwości, myśleć będę o stole plastycznym, taktyce i jej wykładowcy — temu konia z rżędem, ale że on i my lubimy się wzajemnie — stało się.

Jeszcze parę żeśliżgów nad lasem, podchodzimy i lądujemy zda się nie dotknawszy ziemi.

Potem udało mi się „pocichu” jeszcze lecieć i na R. W. D. i z tego powodu miałem możność porównania obu maszyn pod względem „zachowania się w powietrzu”. Przytem dostałem ster dublowy do ręki. Dopiero wówczas wyczułem, jak reaguje maszyna na rękę pilota, jak każde odepchnięcie knypa lub przeciągnięcie go kładzie ją na „twarz” lub zadziera do góry, — dopiero zauważyłem, że latam.

Ale, że wszystko ma swój koniec i loty nasze się skończyły, wróciliśmy do Szkoły z duszą radosną i pełną wrażeń.

Niektórzy z nas tak się zapalili do tych Ikara wyczynów, że zamierzają w przyszłości zostać pilotami motorowymi i oddać się całkowicie lub częściowo lotnictwu, — zwłaszcza, że tu w Szkole mamy ku temu grunt przygotowany w wysokim stopniu.

K. P.



Na lotnisku w Bydgoszczy

ZE SZKOŁY PODCHORAŻYCH LOTNICTWA GRUPA TECHNICZNA — SŁÓW KILKA

W pewne, piękne, jesienne przedpołudnie, tem piękniejszego, że — urlopowe, na lotnisku okędkiem stało dwóch podchorążych „zewnątrznie nie różniących się niczym”, jak bardzo dawno temu, „pewien autor” napisał w „pewnym artykule”. (Pamiętasz Witku, jak na zebraniu „Koła Koleżeńckiego Szkoły Podchor. Rez. Lotn.”, skakaliśmy sobie do oczu o to zdanie, a cała kłótnia powstała „dzięki” nożycom Redaktora „Podchorążaka”, który nielitościwie wyciął karykaturę, mającą ilustrować Twoje słowa).

Stało więc dwóch podchorążych i wpakowawszy, całym nieregulaminowo, ręce do kieszeni, gapili się w niebo. A na rozstępcznym niebie śmigły maszyny, kręcąc bezcki i immelmany.

Co pewien czas, przestawali patrzeć w górę i rozglądali się dokoła.

A jednak... i „wewnętrznie nie różnili się chyba niczym”. Z jednakową dumą spoglądali na wielkie, głębokie hangary, kryjące w swym wnętrzu wspaniałe maszyny, których nam świat cały zazdrości.

Z jednakową ciekawością zerkali w stronę tajemniczego „Ibeteelu” (Instytut Badań Technicznych Lotnictwa), skąd, przed kilkunastoma minutami, przepędził ich, bardzo grzecznie, lecz stanowczo, jakiś groźny stróż tajemnicy wojskowej.

Z jednakową miłością, kierowali wzrok ku orłom, wartującym na wysmukłej kolumnie.

Orły — do lotu gotowe — symbol całej lotniczej Polski. W pewnej chwili, uwagę ich zwróciła na siebie mała maszynka, w zwitkach „polskiego korkociągu”, opadająca ku ziemi.

Wlewo... Stop... W prawo... Stop... W lewo... Siem... Ośm... „Ale kręci”.

Dziewięć... Dziesięć... Pilot dodał gazu i stukonny silniczek wyrwał maszynę w górę, wspaniałą świecą. Po paru minutach, samolot, parszając silnikiem, pracującym na zredukowanych obrotach, przeszedł nad ich głowami i lekko siadł na murawie, ginąc prawie w wielkiej, zielonej plachcie lotniska. Maszyny lądowały — jedna po drugiej.

Zapanowała cisza. Tylko, gdzieś od hamowni, dochodził wysoki ton silnika, „próbowanego” na pełnym gazie.

Kolejny zawrócił i powoli szli w stronę bramy.

— Wspaniali pilot — przerwał milczenie pierwszy. — Jak on to robi?

— Wspaniała maszyna — odrzekł, jak echo, drugi. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się, wspomniawszy dawne, dęblińskie, w „Rezerwie” prowadzone, spory.

Jeden — był „pilotem”; drugi — „technikiem”. „Technik” ciągnął dalej:

— Powiadasz: „wspaniali pilot”; pytasz: „jak on, to” robi. Masz rację — lata, jak anioł i daj Ci Boże dorównać mu, w najbliższej przyszłości. Ale... pomyśl... jak „oni” to zrobili? Zaczęło się „od niczego”; i po kilku latach pracy, te, jak ich nazywacie, „smolipyski” sprawiły, że nasi niedawni mistrzowie zazdroczą nam naszych własnych konstrukcji. Pomyśl... Francuzi kupili polską maszynę.

Przerwał na chwilę i spojrzawszy, spod „fasonowego”, końca nosa sięgającego, daszka, na swego towarzysza, dodał z uśmiechem.

— A przytem... takich pilotów, jak w Polsce, niema na całym świecie.

— Ponieważ nie zelgałeś, ani słowa podczas swej długiej mowy, więc chodźmy „pod Bouquetta” — zaakcentował komplement pilot.

Następnego dnia, uściśnęli sobie dłonie i z uprzejmym życzeniem „połamania rąk i nóg”, co, jak wiadomo, jest patentowanym środkiem przeciwko karnym raportom, pace i przechodzeniu ze spirali w korkociąg, rozjechali się w dwie strony Polski: pilot — do Dęblińska, technik — do Bydgoszczy. Zbyt naiwnym czytelnikom wyjaśniam, że łamanie kości jest zbyt radykalnym środkiem; wystarczy samo „życzenie”.

Zastanowi się może „poniektóry” z szanownych Czytelników: „co lotnik może robić w Bydgoszczy”. Okazuje się, że nie tylko „może”, ale „musi robić” jeśli chce ukończyć „Szkołę Podchorążych Lotnictwa grupę techniczną”, kształcącą przyszłych „oficerów technicznych”.

Równowaga we wszechświecie nie może być zachwiana; a, że Szkoła jest niewielka, więc pracy musi być bardzo wiele. Tak wiele, że do tej pory, żaden z nas nie miał czasu napisać ani słowa do „Podchorążego”. A Szkoła „urzęduje” w Bydgoszczy już rok drugi. I nie tylko „urzęduje”, ale „żyje”. Żyje, może innem, niż inne podchorążówki, życiem, wynikającym z programu i celów, dla jakich została stworzona, niemniej jednak, panuje w niej tradycyjny, podchorążacki humor.

Przeszły już setki, ba — ...tysiące godzin, pracowniczych w salach wykładowych, laboratorjach i warsztatach.

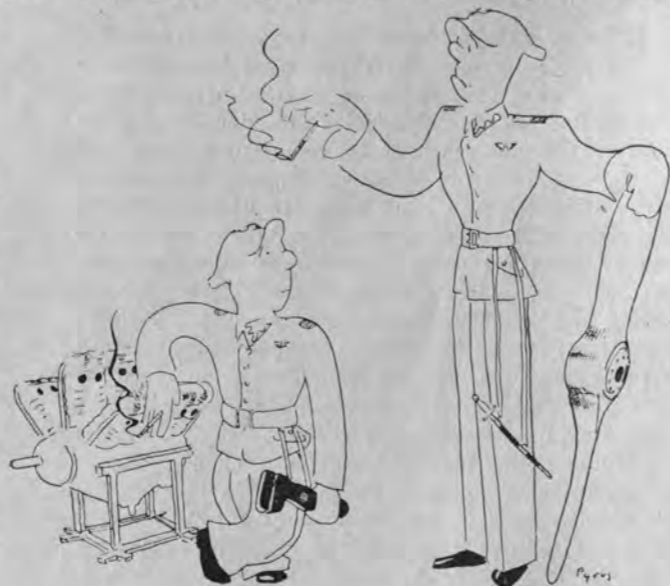
Radjoreporter, który niedawno, z łam „Podchorążego”, nadawał reportaże dębliński, a którego jakiś „młody orzeł” wystraszył, zupełnie zresztą niechęć, z lotniska, niemniej szybko wiałby, z mikrofonem pod pachą i od nas.

Zaproszony uprzejmie na salę, wysłuchałby pięknego wykładu, „ilustrowanego” niezliczoną ilością „wzorów”, od których tylko nasze, zahartowane głowy kręcka nie dostają.

Następnie, powędrowałby do, siarkowodorowo-amonjalną atmosferą napełnionego, laboratorjum, skąd mogłby nadawać (ewentualnie) wybuchy, wytwarzającego się wodoru. Powiadam: „ewentualnie”, gdyż radjoduchacz, usłyszawszy, że: „...ilość balastu możemy obliczyć z prostego wzoru:

$$m = B \cdot f \left[1 - \left(1 - \frac{0,0065}{T_0} - h \right)^{4,256} \right];$$

gdzie m — oznacza... „zamknęliby, napewno głośniki. Ale



my jesteśmy gościnni i nie wypuścimy tak szybko drogiego gościa z naszych murów.

Zaprowadzimy go jeszcze do kuźni. Parokilogramowe kawałki stali, pięknej, czerwonej barwy, wesoło fruwały w powietrzu, wyrwane, z niezbyt umiejętnie trzymany kleszczy, uderzeniem wielkiego młota. Po drugiej stronie trzona, dla zrównoważenia olbrzymiego obucha, przyczepiony jest „konusowaty” podchorąży, który spokojnie czeka, kiedy „materjał” skończy swą powietrzną wędrówkę i powróci wreszcie na kowadło.

Reporter chce znowu wiać „musi” jednak zjeść z nami obiad.

Napełnieni „granatami” i innymi przysmakami, znani tylko w żołnierskiej kuchni, pędzimy na boisko sportowe. Potem... znowu nauka.

A kiedy nieszczęsny radjonadawca, wieziony sanitarką, wyrzy przez okienko na ścieżkę, biegnącą obok szubińskiej szosy, ujrzy, rozszerzonymi szaleństwem żrenicami, „wytworzone odzianych” podchorążych, zdążających szybkim krokiem do miasta, gdzie wypatrują ich z niecierpliwością, różnej barwy, i rozmaitego kształtu, oczy. A lotnik „każdej branży” musi być punktualny. Prawda? — koleddy — piloci i obserwatorzy. Ryknie wtedy biedaczyna, a wśród obłędnego śmiechu, wyrzuci urywane słowa: „Co... to... za... ludzie?” Przydrożne drzewa zaszumią zdziwione: „Jako, nie znasz ich?”, to „podchorążaki z lotniska”.

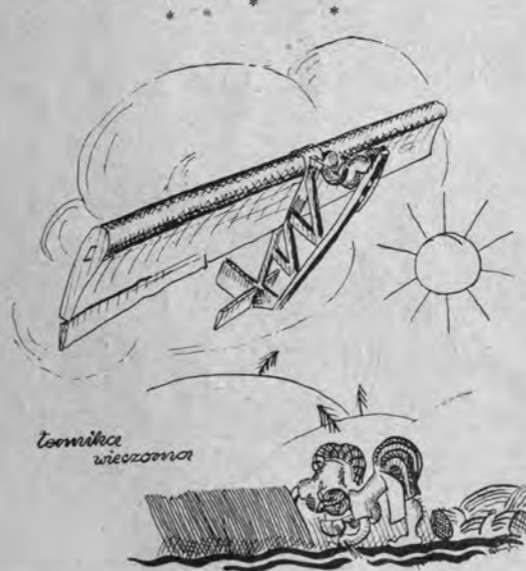
Latem, roku zeszłego, byliśmy na kursie szybowcowym w Ustjanowej.

„Wrony”, „Czajki”, no i... przedstawicielki „płci pięknej” sąsiednich — Ustrzyk, wiele mogłyby opowiedzieć o naszych „wyczynach” powietrznych i... naziemnych.

Ale, choć wszystkie — są rodzaju żeńskiego, wierzę, że będą dyskretne.

Dobrze nas też zapamiętały małe koniki, które pracownicy wciągały szybowce na górę, a którym krotkie chwile wypoczynku przerywały akrobatyczne ewolucje członków grupy „Orłów”, czy też „Kaczorów”. Pochodzenie i znaczenie tych nazw musi pozostać tajemnicą — „strzeż się szpiegów...”

Wiele krwi i nerwów napsuliśmy instruktorom, przede wszystkim rozczarowaniem, które im sprawiliśmy: jak na złość, mimo najczarniejszych i najbardziej stanowczych przepowiedni, nikt karku nie skrzył; a i liczba potłuczonych maszyn nie była zbyt wielka.



Potem był urlop, który minął „jak sen jakiś złoty”. Potem praca... Święta... Wreszcie, przyszedł najgorętszy okres: zeszyli się: — praca i... karnawał, a z nim — tradycyjny kar — nawał.

Urządziliśmy skromną „herbatkę” na przyjęcie „młodszego rocznika”. Nasz, popularny w Bydgoszczy „Saurer” zwoził pracowicie gości na lotnisko. Bawiono się do białego dnia: „wszystkie panie tańczyły”. A rano, gdy część uczestników zabawy przeżywała po raz drugi, we śnie, balowe wrażenia, podchorążowie pomaszzerowali do kościoła, aby po powrocie przebrać się i... znowu wędrować do miasta, stosując się do przemądrego powiedzonka: „w trumnie, wypoczniesz i wypiesz się za wszystkie czasy”.

Wreszcie, rozpoczęło się oczekiwanie na śnieg, od którego był przecież ściśle uzależniony wyjazd na kurs narciarski. Niedarmo żyjemy w stałym porozumieniu z meteorologią — śnieg został „zapotrzebowany” i pewnej soboty wpadł, jak pięćdziesięciokilowa bomba, zadyszany podchorąży służbowy meldując: „...przerwać zajęcia — jutro — wyjazd do Rozłuczka”.

Po długiej podróży (jechaliśmy najkrótszą, jeśli chodzi o kilometr, nie — o czas drogą) dotarliśmy do... „Adrii”. Jeśli, ktoś miał bardzo bujną fantazję i bardzo mocno zacięskawiał powieki, to mógł wmówić w siebie, że znajduje się w pewnym, wytwornym lokalu warszawskim, który, najbardziej, w świecie, ściągnął nazwę z rozluźnionego pensjonatu.

Warunki śnieżne, przez cały czas kursu, były prawie bez zarzutu. Niestety, a jak niektórzy szepotali po kątach: „na szczęście”, jedynym dniem, w którym nie przypięliśmy nart do nóg, był dzień, przeznaczony na urządzenie biegu „o sprawność”.

Stosowaliśmy w praktyce — „wytrzymałość materjałów, badając „wytrzymałość doradczą” podchorążackich kości na gięcie i — udarność.

Stosowaliśmy — teoretycznie poznane wiadomości, o „zależności stanu równowagi bryły, od położenia środka ciężkości”. Stosowaliśmy też ważny słownik, np. narciarz, jadący po czyimś śladzie — pośladek.

Ludzie „sypali się”, rozplątywali powikłane nogi, zastanawiając się najpierw która z nich jest lewa, a która — prawa; połykali śnieg, uzbierany przy upadku, w usta; energicznym ruchem głowy, wytrząsali go z uszu i w dalszym ciągu usiłowali zgłębić tajemnicę chrystianji, czy — telemarka.

A kiedy wreszcie — ktoś, pewien doskonałości wykonywanej ewolucji, popisywał się nią przed panem kapitanem, lekarzem i instruktorem (wszystko — w jednej osobie), słyszał sakramentalne: „bez pojęcia”, albo, dla rozmaitości: — „do bani”.

Codziennie, po ćwiczeniach na pobliskiej górze, „patelnia”, dla wysmażających się na niej talentów narciarskich, echrzezonej, wychodziliśmy w teren.

„Szusowaliśmy” stromymi zboczami (instruktor nasz twierdził, że są jedyne — do ćwiczenia łuków), aby zagłębić się potem w mroczne „holwegi” (po polsku — wędroza); radowaliśmy się śniegiem, słońcem i wspaniałym górskim powietrzem. A po kolacji, odbywał się dancng z udziałem trzech pań, kilkudziesięciu podchorążych i... dwóch patefonów. Napisałem: „...trzech pań”, za co bardzo przepraszam pannę Basię, która i tak tego nie przeczyta, bo nie prędko zapewne nauczy się tej trudnej sztuki. Panna Basia była córeczką naszej przemilej gospodyni. Ponieważ, powiedziała kiedyś z wyrzutem: „Jak mam tańczyć — kiedy mnie nikt nie prosi”, więc, na wyścigi, ubiegaliśmy się o najmniejszą z obecnych dam. Basia, z poważną minką, stała na ol-

brzymich rozmiarów butach swego partnera, i w ten sposób tańczono. Rozmowa była nieco utrudniona, gdyż w najlepszym wypadku uszko danserki znajdowało się wysokości... kolan — dansera. Nie dziwnego, że Basia najbardziej lubiła tańczyć z... zamkniętymi oczkami.

Sława nasza, jako zdolnych mechaników, nie zginie wśród Rozłuczian: jeden z kolegów naprawił patefon, który nie chciał grać, mimo założenia nowej igły i — płyty „Columbja“! Otóż, ta przyszła chluba polskiej techniki, zrobiła odkrycie nadzwyczajne: „patefon należy nakręcać“.

Na zakończenie karnawału, odbył się „wielki bal“. Orkiestra przegrała wszystkie płyty, każąc jej powypisywać sobie odpowiednie nuty. Jazzbandytę nauczono śpiewać. Tego, że głos miał mocno zapijaczony, nikt oczywiście nie brał pod uwagę.

Przyjechało sporo osób z powiatowej Turki, z panem starostą na czele. Był nawet jakiś „inspektor“, niewiadomo czemu swój tytuł zawdzięczający. Dowiedziano, że hoduje on szparagi „w inspektach“, ale to — pewnie plotka.

Pewnego wieczoru ktoś powiedział, ściągając przemoczone buty: „Narciarstwo wymyślił jakiś warjat — bardzo sympatyczny, który swoim szaleństwem zaraża każdego, kto choć raz deski do nóg przypiął“. Wypowiedziawszy te wiekopomne słowa, zapatrzył się w wielki palec lewej nogi, wylazący z podartej sparpetki którym poruszał w takt tanga i dodał: „Za trzy dni — koniec kursu“ Nieszczęsny. Wszystkie przedmioty, cięższe od powietrza, znajdujące się na sali, zmieniły swoje dotychczasowe miejsce postoju, lokując się bliżej, lub dalej, jego fotogenicznej fizjonomji. Ale nie zmieniło to w niczem sytuacji — koniec kursu się zbliżał.

Na zakończenie — pojechaliśmy koleją do Sianek, a stamtąd, po dobrym śniegu, do schroniska pod Pikujem. Drugiego dnia „wyprawa“ rozdzieliła się: część poszła na szczyt Pikuj, a druga — w skład której wchodziło jedenastu podchorążych, graniami zjechać miała do Sianek. Pech chciał, że poprzedniego wieczora, jednemu z owej „jedenastki“, kot trzykrotnie przeszedł drogę, mimo zgodnego stwierdzenia przez cały personel schroniska, że w najbliższej okolicy niema ani jednego kota: „Czemby się robaki żywiły? Myszy brak — pozdychały z głodu — panowie turyści wszystkie okruszynki zjadają“.



fol. Dziubiński

„Pod kant“



Na Święta

fol. Bielewicz

A jednak, kot był i „jedenastka“ zginęła, a z nią — ...nie uchodzi pisać kto. — W każdym razie, spóźniliśmy się na pociąg i podróżowaliśmy sami, goniąc, wyprzedzających nas o dwanaście godzin, kolegów.

Jechaliśmy, okazując konduktorom jakiś bilet-zaświadczenie, na widok którego kolejarze bledli i po trzykrotnym odczytaniu treści, machali rękoma i odchodzili. Ponieważ nasz „list żelazny“ posiadał taką wartość, że, zależnie od humoru pana kontrolera, mogliśmy w każdej chwili, znaleźć się koło toru (trochę trudne do wykonania, ze względu na dość dużą siłę leczebną naszego oddziału, albo też — podróżować „błękitnym ekspresem“, wybraliśmy drogę pośrednią, wsiadając do „zwyčajnego“ pociągu pospiesznego.

Jeszcze — kilka godzin, spędzonych w domu, wśród Swoich. Zdziwioneminy przechodniów, oglądających się za żółtą twarzą, umieszczoną nad żółtym szalikiem, pod żółtym otokiem. (Chodziłem po ulicy z psem, wmawiając w siebie, że to za nim tak się ludzie oglądają). Znowu wagon kolejowy — podróż w towarzystwie sympatycznych artylerzystów i... Bydgoszcz.

Skończył się kurs. Wróciliśmy do swej codziennej pracy. Czasami tylko, w nocy, brzmi w uszach nasz okrzyk narciarski (doniedawna, był on okrzykiem norweskim), którym budziliśmy echa wśród grani:

Bigen Maria. — Dżin!
Bigen Maria. — Dżin!
Bigen Maria. — Dżin!
Hurra!
Hurra!
Hurra!

Pchor. J. Unger.

S.P.L. gr. techn. Bydgoszcz.

WSPOMNIENIA Z PRZED PIERWSZEGO URLOPU

Postanowiłem odbyć służbę wojskową jako ochotnik i odzamiaru tego nie odstraszyło mnie ani to, że luty 36 roku ma 29 dni, ani nawet to, że 13 grudnia i 13 marzec wypadły w piątek.



Po awansie

fol. Bielewicz

Dwudziestego września, w piątek (ten piątek strasznie mnie prześladowa, chyba zato, że się ośmieliłem w tym dniu urodzić, ale czy to moja wina?...), przywoziłem do wojska oprócz odwagi, powagi i wagi (szczególnie tej ostatniej) niezawodne, wypróbowane przez tyle lat w szkole przysłowie (przysłowia są mądrością narodu!) „Spiesz się powoli“, które stosuję z powodzeniem i w służbie wojskowej.

Nawiasem muszę także wspomnieć o dwóch walizkach, wypchanych najrozmaitszemi „specjałami“, którymi — przez kilka pierwszych dni — pieściłem swoje delikatne podniebienie i przyzwyczajałem zwolna rozgrzmaszony żołądek do wojskowego życia.

Początkowo kręciło się wszystkim jakoś w głowie, bo rozkazy podawali „do góry nogami“, np: Skończyć czyszczenie rozkazu, przygotować się do broni; rozkaz na mój pluton! A inny meldował się posłusznie, jako cenzus z rekrutem.

Ale potem „wypogodziło“ się „cenzusom z rekrutem“ w głowie i nauka, choć naokoło Bukówki lasy wielkie, nie szła w las, jak o to obawiał się p. porucznik, d-ca naszego plutonu.

A różnie u nas bywało.

Oto pewnego razu wystąpił pan st. sierżant przed szeregiem i zaczął mówić: „Po południu trening lekko—i ciężko—atletów!“ Mówił to takim głosem, że nie było wątpliwości, że prawdę mówi, on tymczasem ciągnął dalej: „Lekko—i ciężko—atleci, wystąpi!“ Wystąpiło w mgnieniu oka pół kompanji. Ciężkoatleci pod dowództwem osobistem mojem, a lekkoatleci pod dowództwem samego p. st. sierżanta pomaszzerowali na stadjon.

Trening był niezły, godzinny. Lekkoatleci zbierali z niewykończonego stadjonu kamienie lekkie (żeby się nie przemęczyli), a ciężkoatleci kamienie... ciężkie!

A potem nastąpiły dni piękne, tłuste i chude, od siedmiu boleści!

Lecz najpiękniejsze to dwa dni: 24-go października, w którym przysłali mi z domu dwie paczki żywnościowe i 9-go listopada, kiedy piastowałem urząd kontrolera kuchni (urząd ten zawdzięczam naszemu panu szefowi, oby żył wiecznie!). Mniej, ale także piękny był dzień, kiedy na bojówce st. sierżant krzyknął: „Lotnik, kryj się!“ Runąłem w przepyszną rzepę...

A teraz o dniach chudych słów (dosłownie) „kilka—naścioro“.

Dnie chude, to przede wszystkim 13 listopad i 13 gru-

dzien (piątek), o których nie będę pisał, boby pióro pękło z żalu i smutku wielkiego.

W wojsku dzielą się jeszcze dnie na szczęśliwe i nieszczęśliwe, czyli pechowe.

Oto dzień szczęśliwy (jest ich bardzo mało), wyjęty z „Żywota“.

Szóstego grudnia byłem w Kielcach bez przepustki, kiedym już wracał do koszar, z wielce zadowoloną miną ujrzałem w odległości 43 kroków żandarma (z paskiem pod brodą), który zdążył wprost do mnie. I byłbym niechybnie zginął, gdyby, na moje szczęście, nie przechodził o kilka kroków przedemną pogrzeb. Zdjąłem czapkę i w jednej chwili przyłączyłem się do pogrzebu, przybierając przytem jaknajsmutniejszą minę. A że „głosik“ mam nader „piękny“ i „miły“, nieomieszkałem śpiewać „Wieczne odpoczywanie...“ Pewnie zmarłemu pomogło tyle moje śpiewanie, co przysłówiowe kadzidło, ale zmarły uchronił mnie od pewnego „ściślego“.

A teraz jak wyglądają dnie pechowe? Oto ich cała kolekcja:

Na zbiórce jem sobie w najlepsze suchary, bo nie był to ani piątek, ani 13, a tu, jak grom z jasnego nieba, głos p. plutonowego „Swobodnego“.

— Wy gruby, do mnie!

— Każde zbliżenie do p. plutonowego zaszczyt mi wielki przynosi, melduję posłusz...

— Co, wy chleb jecie na zbiórce?

— Panie plutonowy, melduję posłusznie, to suchary!

Następnie „lekka“ gimnastyka.

Wieczorem, tego samego dnia, z niewiadomych i dotąd niewyjaśnionych przyczyn, obraził się na mnie kucharz i nie dał mi, jak zwykle, dwóch porcyj kawy.

Na pierwszym wolnym wyjściu poznałem pleć piękną i taką się być zdawała, gdy było ciemno, a kiedy wyszedłem z nią na „Sienkiewicza“ (główna ulica w Kielcach) od razu zadałem sobie to pytanie: Czy pleć piękna jest słusznie, czy niesłusznie tak nazwana? Nos miała kościuszkowski. W ustach, na przodzie zębów pięć, w tem dwa u góry (chwaliła się, że ma jeszcze dwa zęby mądrości, w co bar-

fol. Dziubiński



„Kuznia Młodych“

dzo wątpiłem, ale uwierzyłem, bo nie miałem chęci ich oglądać...) Oczy tylko miała naprawdę piękne: jedno patrzyło na Katedrę, a drugie na kościół św. Krzyża. „Zwiąłem”, gdy się nadarzyła pierwsza ku temu sposobność!

Pięknego dnia (mam na myśli pogodę), w czasie natarcia, krzychałem zamiast ognia — „Teuer!” O. pe. er. od p. porucznika. Po południu znów o. pe. er. od p. st. sierżanta, bo za moim łóżkiem wisiał ośmio-metrowy ręcznik, gdy tymczasem miernicy stwierdzili, że ręcznik miał „tylko” 3,29 m.

Po strzelaniu, na którym wybiłem trzy siódemki, pan plutonowy „Swobodny” był mocno niezadowolony: „To wybiście nawet Niemca w głowę nie trafili!”

— Panie plutonowy! Niemcy mają bardzo duże głowy i napewno bym tra...

— Fi-lo-zof! Wprzód biegiem marsz!!..

Najgorsze są jednak pechowe noce! Gdy jest pobudka gdzieś około 22-ej za nieporządku, to głupstwo! Każdy wstanie, zje swój dodatek i znów bogobojnie kładzie się na... pie... ścidełko. Ale np. takie jedno słóweczko: ALARM!

Spałem snem zasłużonych, twardo, jak Bóg przykazał w przykazaniach swoich. Wtem słyszę jakiś lekki hałas...

— Usu, co to?—pytam.

— Alarm—odpowiada śpiewnym głosem Przemysław.

— Nie strugaj warjata — mówię jego językiem, nie otwierając oczu.

— Ta skarz mnie Bóg—alarm!

Na takie zaklęcie skoczyłem jak oparzony! Na sali padał wielki hałas. Alarm, alarm!

Szybko przyszedłem do siebie, zajrzałem do szafki i o dziwo, leży wędlina. W jednej chwili znalazłem u sąsiada chleb i odetchnąłem z ulgą: co najważniejsze, gotowe!

Zacząłem się szybko ubierać i w tłumie zapomniałem o wszystkim (nawiasem w nawiasach mówiąc zapomniałem poraz pierwszy o moim przysłowiu, które radzi: „śpiesz się powoli“.)

I już byłem prawie gotowy, gdy ktoś krzyknął: „Brać hełmy!”

Gdzie moja beretka pod hełm?

Szukajcie, a znajdziecie, myślę i pokrępię tym, zacząłem poszukiwania.

Szafka—poszukiwania bezowocne; jedna walizka—trud daremny. Dopiero w drugiej walizie znalazłem wreszcie beretkę.

Założyłem na beretkę hełm i pędzę na zbiórki, jak zwykle z humorem, bo „poco swym smutkiem smęcić cudze oczy”?

Byłem z kolei...

Ledwieśmy się rozeszli, pyta mnie kolega: „Kuba, który byłeś?”

— Jeden głupiec może więcej zapytać, niż stu mędrów odpowiedzieć.

Ledwie skończył, znów to samo pytanie... — Jednemu rekrutowi wybili za takie pytanie trzy zęby, w tem dwa złote.

A po chwili:

— Kuba, który byłeś, bo ja pierwszy, miałem szalone szczęście...

Zacząłem tracić równowagę ducha. Wiedziałem, że będziesz pierwszy, bo głupi ma zawsze szczęście!!!

Ostatnie dni tak mię załamały (9 i 13 grudzień), że gdyby nie to, że do Świąt było tak blisko, iż pozostało zjeść tylko siedem bułek i dwa chleby, i że dostałem miły liścik od swojej dziewczynki—zwarjowałbym chyba (a szkoda, bo nie byłoby tak „pięknego” feljetonu...)

Wreszcie urlop.

Na urlopie jakim kłęski szerzył (oczywiście w śpizarni), daremnie śpiewać, niktby mu nie uwierzył. Zauważyłem przy tej sposobności, że powiedzenie p. st. sierżanta: „Jak „Kuba” straci apetyt,—będzie koniec świata”—nie było wielką przesadą.

Urlop mija szybko i znów widzę, jak szara kolumna piechoty maszeruje na ćwiczenia, a w trzeciej czwórce odważnie i poważnie „idzie sobie, idzie Kuba legionista, a że „głosik” ma nader „piękny i miły”, więc tak sobie śwista: „idzie sobie, idzie Kuba legionista...”

I znów nastaną dni tłuste i chude, szczęśliwe i pechowe, takie jak te, które już przeszły do historii, bo historia się przecież powtarza!

Kielce:

„Cenz. z leg.” S. J. („Kuba“)

NIEZNANE REKORDY PRACY

Naogół człowiek mało zastanawia się nad tem, co było, co już minęło. Są jednak takie chwile, takie wypadki, które zmuszają nas do oglądania się w tył, do zastanowienia się nad tem, co i jak zrobiliśmy. Taki okresowy rachunek sumienia jest tembardziej konieczny, gdy chodzi o pewne zjawiska życia zbiorowego. Zazwyczaj analizujemy wtedy pewien czyn o większym znaczeniu, który na nasze życie zbiorowe, na nasz sposób myślenia, na nasze ustosunkowanie się do pewnych zjawisk wpłynął w taki czy inny sposób.

Od kilku numerów czytamy w „Podchorążym” sprawozdania i feljetyony na temat t. zw. ćwiczeń zimowych, a mówiąc zwyczajnie — manewrów. Szukamy tam przedewszystkiem humoru. Zdaje mi się jednak, że wielu z nas zastanawiało się poważniej nad tą kwestją — i z tymi chciałbym porozmawiać.

Już kilka tygodni przed terminem chodziły rozmaite plotki i ploteczki — będą, nie będą, dzienny marsz najwyższej 30 km., najmniej 60 km. i dwa natarcia, walczyć z tymi a przeciw tamtym i t. d. Byliśmy wtedy raczej zaciekawieni, chętnie podchwytyjąc każdą wiadomość. Manewry

„Kopciuszek”



fol. Dziubiński

były dla nas czemś pociągającym, tajemniczym, prosto — wielkim znakiem zapytania. Lecz im więcej zbliżał się termin, tem nasze zainteresowania zdawały się bardziej realne. Przypomnijmy sobie szczerze, jak każdy z nas gromadził rozmaite produkty żywnościowe, rozmaite graty, które później z uczuciem ulgi wyrzucał na drugim czy trzecim postojem, bo okazały się niepotrzebne i ciężkie.



Powrót z manewrów

fol. Kożan

Wreszcie pewnego dnia czy nocy wyruszyliśmy. Co wtedy każdy z nas myślał — trudno odgadnąć. Ja osobiście przeliczałem 35 km. na kroki i uczeniłem liczyć do 1.800, niosąc rkm przez 1½ km. Ale nie o to chodzi. Po stronie zysków notujemy: humor na pierwszej kwaterze, zapał, gorączkowe oczekiwanie jutra. A „jutro” było ciężkie. Wstaaliśmy w nocy i poszliśmy gdzieś w nieznanym terenie. Bądźmy szczerzy — zniknął gdzieś humor, gasł zapał — rodziło się coraz większe zmęczenie fizyczne. W następnym dniu było ono chwilami tak silne, że prosto nie można było myśleć o poważniejszych zagadnieniach. Tu dość długi rejestr musimy wypisać na koncie strat.

Aż wreszcie przyszedł dzień może najciekawszy: pierwsze zetknięcie się z nieprzyjacielem. I w jednej chwili wróciło to wszystko, co mieliśmy w sobie w chwili wychodzenia z koszar: ciekawość, zapał, chęć do rzetelnej pracy, a nade wszystko — pragnienie zwycięstwa. Wiedzieliśmy, że zwycięstwo trzeba sobie wypracować, powiedzmy realniej —



fol. Frontczak

Nareszcie obiad

wywalczyć, że na to potrzebny jest duży wysiłek ciała i myśli. Nie było takiego, któryby się zawahał. Powiedzieliśmy sobie, że musimy pokazać nieprzyjacielowi — w tym wypadku jakiemuś innemu pułkowi — że my jesteśmy lepiej wyszkoleni, że jesteśmy lepszymi żołnierzami. I gdy padły rozkazy, daliśmy z siebie nawet więcej, niż przypuszczaliśmy, że dać możemy...

Zarazem obserwowaliśmy ciekawie. Dotąd ćwiczyliśmy w ramach drużyny, najwyżej plutonu, teraz ujrzyliśmy wyciągnięty w długą linię bataljon, gdzieś na horyzoncie drugi, w tyle trzeci, na skrzydle kawalerję. nad głowami samoloty, w dali artylerję... Poczuliśmy się bardzo małą, niezmierną częścią tej skomplikowanej maszyny. Ale zarazem mieliśmy świadomość, że bez nas, bez tej małej części, aparat może nie funkcjonować, że, pociągając innych swoim przykładem, możemy jego działanie bądź ulepszyć, bądź uniemożliwić. I napewno nie było takiego, któryby w wykonaniu swego działania nie włożył wszystkich wiadomości, wszystkich sił.

I gdy po ciężkiej walce odnieśliśmy zwycięstwo, przysłała nowa refleksja. Często lubiliśmy słuchać opowiadań o wojnie od starszych. Ale mimo najbardziej realnych słów, nie potrafiliśmy sobie wyobrazić rzeczywistości. A teraz, będąc sami w akcji, widząc 200 m. przed sobą czarny otwór lufy — czuliśmy się niewyraźnie. Ale zapał, impet, wola zwycięstwa — kazały nam zapomnieć, że w rzeczywistości niejednego czekałaby tam śmierć. I jeszcze jedno. Zwycięstwo ogłoszono w chwili, gdy z bagnietami w rękę znaleźliśmy się kilka metrów przed nieprzyjacielem. Musimy jednak pamiętać, że w realnej bitwie byłoby to zaledwie koniec początku, że po tym dużym wysiłku musiałby nastąpić jeszcze większy — krwawa, bezwzględna walka na białą broń, żaźarte zdobywanie każdego centymetra, potem długi, męczący pościg i może nowe natarcie — bo tak rozkazałby wódz, bo tego wymagałoby zwycięstwo.

Jakoś szybciej i raźniej poczęły teraz mijać dni — kilometry stawały się krótsze, zorane pola bardziej gładkie, kwatery bardziej komfortowe. Praca, mierzona zmęczeniem, zdawała się być coraz mniejszą, podczas gdy w istocie było nawet przeciwnie. A nawet, gdy wracaliśmy do koszar, niedawny trud wydał się czemś dalekim, czemś, co nie było nasze, czego nie odczuwaliśmy.

Dzisiaj, siedząc wygodnie w świetlicy, zastanówmy się raz jeszcze. My np. w ciągu 5 dni zrobiliśmy 200 km., kilkakrotnie nacieraliśmy, ścigaliśmy nieprzyjaciela, wystawialiśmy w nocy placówki, marzliśmy na 20-sto stopniowym

mrozie — i w rezultacie byliśmy zadowoleni, czuliśmy się dobrze. Przed rokiem bez wahania powiedzielibyśmy, że to jest niemożliwe, że człowiek nie jest zdolny do takiego wysiłku. A jednak — jednak można było i więcej.

I znowu poszły dni jak przed tem, dni, znaczone rekordami szarej żołnierskiej pracy. Rekordów tych nikt nie zna prócz nas, żołnierzy. Rekordy, o których nie pisze prasa, o których nie mówią ludzie. Ale nam to niepotrzebne. Wystarczy nam świadomość, że dobrze spełniliśmy obowiązek. A że czasami odzywa się zmęczenie, że początek wydaje się trudny — nie to — powtórzmy za Wołodyjowskim. Ostateczny rezultat — wybitnie dodatni.

D. K. P. R. P. Pułtusk

strz. z cenz. J. Dostatni

LISTY CO DWA TYGODNIE

(Awanse, Dzieje jednej nocy. „Bo od Leśnej nikt się nie wykręci“.)

Było dużo gadania, pokątnych szeptów, przypuszczeń i obliczeń. Aż któregoś dnia przyszedł „Wódz“ I-go plutonu, łypnął okiem, sprawdził czy wszyscy mają „ramionka do tyłu“, dał „spocznij“ i począł w te słowa: „Dzisiaj przeczytają wam awanse, sprawdzian waszej pracy. Naturalnie — będzie zaskoczenie“. Potem ustawili nas w czworobok i przeczytali, że ten i ten zasługuje na wysokie dystynkcje starszego strz. z cenz. a ten i ów nie. Tych, co zasługują była naturalnie mniejszość. Potem ci, którzy zawsze twierdzili, że „phi, cóż to za „szarża“ ten „frajter“, przyszli sobie srebrne paski natychmiast, nawet czarnymi nićmi, drugą zaś grupę „opiesznych“ przynaglił sierżant-szef.

Naogół było przyjemnie i nawet udało się zdjęcie...

Potem zaczęto mówić, spoczątku cichaczem i bojaźliwie, potem zaś coraz głośniejszymi i wyraźniejszymi obozie ćwiczebnym w Leśnej, po wojskowemu O. C. Leśna. „Na ucho mówiło się, że dzieją się tam straszne rzeczy: wiatr hula po barakach, wazelina w łufach zamarała, szaleje grypa, a izby chorych niema. Że człowieka ogarnia spleen i nie dochodzi poczta. Optymiści twierdzili zawsze, że jest to „właściwie“ uroczona położona stacja klimatyczna o aromatycznym powietrzu, pięknych świerkowych lasach i malowniczych pejzażach, oraz, że „tam się można leczyć“.

Okazało się wkońcu, że nikt nie trafił w sedno, albo, inaczej mówiąc, nie znalazł złotego środka. W łufach wazelina nie zamarała, bo jej wogóle brakło, a „byczyć się“ nie można, bo jest dużo roboty. A jak wczoraj zostało w kuchni zadużo niezżytych porcyj, to zaraz p. kapitan powiedział: jak im damy w pirze, to aż z kuchni dym polecie!...

Ładnie się zanosi!...

Ale nie sprzedajmy faktów.

Na kilka dni przed wymarszem do Leśnej już wszystko było spakowane, gdzie się da, przeważnie zaś w plecakach i każdy mógł sobie powiedzieć: „omnia mea secum porto“ (35 kg).

Ostatnią noc przebyliśmy razem z plutonem „ckm-ów“. Jak powszechnie wiadomo, między plutonami strzeleckimi a „kaemami“ jest pewna różnica. Ci drudzy uważają się za coś lepszego, że niby oni „broń techniczna“, a my „zające“. Poprostu „superiority complex“.

Ale po capstrzyku gentlemani z ckm-ów zaczęli gadać, co niektórych, i tak niewygodnie śpiących nieco zdenerwowało. Wywiązał się dialog, bynajmniej nie platoński:

„Przeście głupio pyskować koniuchy!“

„Cicho zające, macie tu trochę kapusty!“

Pozatem ponad głowami przeleciał ciężki, żołnierski but, niczem zbłąkany strzał!...

Chcę się odpowiednio zrewanżować i już sięgam po 2 pary niedawno „wyfasowanego“ obuwia, ale Jurek mnie powstrzymuje:

„Daj spokój Tadek, im i tak konie resztę sieczki z głów powyjadają“.

„Skoczybrozdzy, szarakil!“

„Wodę z głów wylejcie sobie do chłodnicy, to dopiero zaczniemy z wami gadać“.

Milą pogawędkę zakończył służbowy, zwany „zbytelnym panem“.

Następnego dnia byliśmy już w drodze. Rano wstając z rze zastały nas na szosie baranowieckiej. Przed nami orkiestra, na naszych plecach wypechane tornistry.

Z godziny na godzinę topniały kilometry.

Na świecie była wiosna.

Przed nami, na czele oddziału jechał na słwym koniu dowódca I-go plutonu, co posłużyło dowcipnisiom do stworzenia nowego „przeboju“.

„Chodziłem po polu, zbierałem badyle. Nie widziałem wodza na siwej kobyle...“

Drugi „Wódz“ jechał na rowerze, co znowu podniecało zmysł poetycki „konusów“ z II-go plutonu:

„Strzeż się tego, co na przedzie na rowerze słabo jedzie — oficjera“...

I tak dalej, i tak dalej, aż do samej Leśnej, której

by opisać urok, poety trzebaby.

Ja tego nie potrafię. Mickiewicz chyba...“

D. K. P. R. Leśna k/Baranowicz.

st. strz. z cenz. T. Z. Strykowski.

HALLO! TU MOWI BRODNICA!

Gdy słońce lepiej przygrzało, a na Drwęcy lody ruszyły, odzywa się jakby ze snu zimowego zbudzona... Podchorążówka w Brodnicy.

Półroczny okres służby wojskowej, którego sprawdzianem są odbyte repetycje, zaznaczył się jako okres dość intensywnej pracy, kulturalnej. Pierwszym naszym debiutem to „Święto Podchorążego“. Przy wspólnym wysiłku całego kursu i całkowitem poparciu naszych przełożonych, uroczystość wypadła imponująco.

Uroczystość samą poprzedził „Wieczór Podchorążego“ którego pierwsza połowa, część poważna nawiązywała do dawnej świetnej przeszłości naszych podchorążych z 1831 roku. Wspólna rewja w strojach z 1831 r. w bojowym rynsztunku przy akompaniamencie „Warszawianki“ i „Pierwszej Brygady“ obrazowała nasze wspólne wysiłki dla Polski.

Następnego dnia poczet sztandarowy w strojach historycznych poprowadził Dywizyjny Kurs do kościoła. Po uroczystym nabożeństwie odbyła się dla nas — przysięga. Chwile te pozostaną dla nas niezapomniane.

Dalszym etapem pracy Koła Kulturalno-Artystycznego, to praca wśród żołnierzy. Poprzez uroczystości Święta Niepodległości, Imienin Pana Prezydenta i odczyty (np. o Powstaniu Styczniowym) strzelcy z cenzusem przenikają do świetlicy żołnierskiej, wykorzystując wolne chwile na wieczorki, rozgrywki szachowe, warcab i t. p.

Choć karnawału Kurs nie zaznał, młodzież podchorążacka kipi życiem i wesołością, a wolne chwile wykorzystuje się na próby, aby Brodnicę pożegnać wesołą rewją, przed wymarszem na kilkutygodniowe ćwiczenia polowe na poligonie.

strz. z cenz. Błażejowski.

A LA FOURCHETTE

Awans Witka zbiegł się z równonocą wiosenną. Wznieśli nastrój całej natury, objawiający się wonią puszczyjących się drzewek i przeraźliwym miauczeniem kotów dopełniała serdeczna atmosfera na sali numer 1. Składano życzenia nowemu komendantowi izby i niemniej szczerze gratulacje Mańkowi, który piastując zaszczytny urząd w zeszłym miesiącu zarobił: uznanie lokatorów, 28 dni zakazu opuszczania koszar i parę miesięcy wstrzymanego wyjścia. Zapisał się też w pamięci wszystkich śmiałym dekretem znoszącym wymiar kostki 30 na 30, a wprowadzającym nowy, zależny od indywidualności jej właściciela.

Rozkaz jego udawania się na spoczynek bezpośrednio po kolacji głośny był w całej szkole. A punktem kulminacyjnym było wywieszenie na zewnętrznej stronie drzwi kartki z napisem „Psy, które ostro gryzą i kopią“. Celem jej oczywiście było odstraszenie organów służbowo-inspekcyjnych od kontrolowania i niepowołanego wglądu w prywatne życie izby numer 1.

Trudno. Le roi est mort, vive le roi. Zresztą Witek według wszelkich obliczeń powinien kontynuować piękne tradycje Mańka.

W poniedziałek, po wypłacie żołdu Maniek szarpnął się wieczorem przytransportował pudełko moskalików, dwa bochenki chleba i większą ilość chałwy.

Wstałem wzruszony i szukając odpowiednich słów przemówiłem bez przygotowania, poprostu improwizowałem.

— Proszę panów tego... proszę panów! Dzisiaj proszę panów. —

Maniek patrzył na mnie wniebowzięty. Nie odznaczał się elokwencją i nigdy nie ukrywał zazdrości dla ludzi obdarzonych iskierką bożą.

— Proszę panów! Żegnamy tego, którego... te go... —

— Możebyśmy tak coś zjedli — przerwał Kajtek, nie mogąc powstrzymać łez cisnących się do oczu.

— Ależ — zaproponowałem niepewnie.

— Zresztą, o wpół do dziewiątej musimy iść spać.

I wtedy stała się rzecz niespodziewana, na wspomnienie której wszystkim mieszkańcom izby numer 1 stają rzadkie włosy na głowie. Witek zmarszczył czoło i oświadczył głosem nieznośnym sprzeciwu.

— Rozbierać się wolno dopiero o dziewiątej, światło gasić o wpół do jedenastej.

Wybuchnęliśmy niepohamowanym śmiechem. Kaczor rżał długi czas, dotykając brodą trzeciego guzika munduru.

— Wspaniały kawał.

— W... żłobie leży — dygotał Kajtek. Korzystając z ogólnego podniecenia skosztował największego moskali-ka z głową i ogonem.

— Panowie myślą się, myśląc, że żartuję.

Tego było już za dużo. Nawet świeże, wiosenne powietrze płynące przez otwarte okno od stajen nie było w stanie obniżyć temperatury izby numer 1.

— Witek, czyś ty z byka spadł? — starałem się polubownie zażegnać burzę.

— Zwracałem się do pana służbowo.

— Jak babcię kocham, władza mu do łba uderzyła.

Humory były zwarzone. Witek otworzył na czterdziestej stronie: „Podręcznik bon-ton'u“ i nie zwracając na nas, ani na zastawiony stół najmniejszej uwagi zaczął czytać.

— Jeżeli ten idjota, powtarzam głośno i djo-ta mówi serjo, trzeba mu dać szkołę taką, by do końca życia zapamiętał sobie, że komendant izby jest tylko poto, by usuwać niedociągnięcia w porządkach lokatorów i... — dalsza część mowy Mańka zlała się w nieartykułowany warkot. Zresztą wygłoszenie takiego długiego zdania niepozobawionego myśli i logicznego związku świadczyło, że był naprawdę zdenerwowany.

— Od dziś mówimy mu per pan.

— Pomyśli, że to szacunek.

— Ręki mu nie podawać — zaproponował Kaczor.

— Daj spokój. Gdybyś to mnie oświadczył, uściskałbym cię z radości. Myślisz, że to przyjemność obłapywać takie łapsko.

— Leb owinąć onucą.

— Wczoraj była zmiana bielizny.

Witek ani drgnął. Powtarzał pocichu jakąś świeżo zdobytą wiadomość z miną pustelnika.

— Niema o czym gadać — machnął ręką Kajtek, zbierając skrętnie okrucy chałwy.

Kilkanaście minut przed ciszą Witek chrząknął, spojrzawszy krytycznym wzrokiem na moją kostkę, wziął ją delikatnie w obie ręce i rzucił na łóżko,

Zsinałem.

Po trzech latach pobytu w wojsku — charczalem bliski utraty przytomności.

A ten spokojnie przeszedł salę i w ten sam sposób zdemolował cztery pozostałe kostki. Jakis but świsnął ostro-gą w powietrzu.

— Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, aniżeli łapą raszę, by kostkę ułożyć — ryczał Maniek.

Klemens zdenerwowany szukał w szufladce okularów, nie wierząc krótkowzrocznym oczom.

Atmosfera była naładowana elektrycznością.

Kajtek przewrócił się ostentacyjnie na brzuch.

— Radzę panom poprawić. Dzisiaj „Szewczyzna“ ma służbę, a ja, nolens volens, odpowiedzialności na siebie nie biorę.

— Nie używaj słów, których nie rozumiesz, bo przestanę panować nad sobą.

Przytrzymałem Kaczora, który cprawda ma tak krótkie nogi, że nie jest w stanie wykonać tygrysięgo skoku ko-



niecznego do rozpoczęcia rękoczynów, ale zawsze lepiej na wszelki wypadek.

Trzeba było jednak zapomnieć o ambicji i dobrem wychowaniu, nakazującym zignorowanie zniszczenia i wejście w komitywę z Morfeuszem, bowiem słowo „Szewczyna“ ma pewne własności magnetyczne.

Zgrzytając zębami poskładaliśmy kostki.

Przy gaszeniu światła doszło do drugiej sejsji.

Witek obejrzał salę z profilu, en trois quatre, en face, en un quatre, zajrzał do wszystkich kątów, sprawdził porządek w szafkach, nawet zdradził chęć przejrzania naszych nóg. Tu napotkał tak stanowczy opór, że dał za wygraną, przekręcił taster lampy i... otworzył dwa okna.

Kajtek nie nie mówiąc wstał z łóżka i zamknął okna, ale jeszcze nie położył się spowrotem, gdy świeży powiew o temperaturze stanowczo kilka stopni ochłodnej myszkował po wszystkich zakamarkach.

— Nie bądź większym durniem, aniżeli jesteś. Jeżeli ci za gorąco, możesz przenieść się z łóżkiem na dziedziniec.

— Albo połóż się w umywalni pod kranem.

Kaczor milczał, a raczej szczerkał zębami. Będąc nader groteskowej kondycji, nasuwającej porównania od kaczora do hipopotama włącznie, przez starą szkapę i inne oryginalniejsze okazy świata zwierzęcego, był najmniej odporny na zimno.

— Rozkaz!

— Wypchaj się.

— Był rozkaz otwierania okien. Skończyłem.

— My też.

Zapanowała śmiertelna cisza, przerywana tylko tańcem szkieleców, wygrywanym przez zęby Kaczora, niezem tercet ksylofonów. Gdzieś na dole trzasnęły drzwi.

— Proszę panów — zaczął niepewnie Witek.

Jak na komendę zaczęliśmy chrapać, rzeźić, charczeć, Maniek nawet mówił coś od rzeczy, dla zaznaczenia, że śpiemy, a w każdym razie nie mamy najmniejszej chęci do prowadzenia rozmowy.

Witek poczekał chwilę, aż ostatni z chrapiących zakrzuszył się.

— Proszę panów.

— Z pięćkami nie gadam — oświadczył z godnością Kajtek.

— Dajcie spokój, przecież muszę wam wytłumaczyć moje dziwne dla was postępowanie.

— Niech mówi — zgodził się Klemens.

Przytaknęliśmy milczeniem, tylko Kajtek stanowczo zaoponował.

— W takim razie ja opuszczam salę.

Wcale nie zdziwiłem się, gdy wyszedł, bo po zjedzeniu kilkunastu niehumanoidalnych moskalików, nawet wieloryb czuje pragnienie. W każdym razie wyszedł z honorem.

— Jesteście oczywiście na mnie wściekli i uważacie mnie za skończonego szczeniaka... bądź co bądź à la minute dorzucił z odcieniem wyższości w głosie.

— Jeżeli pozwoliliśmy ci mówić, to posługuj się językiem zrozumiałym dla nas.

— I dla siebie — uszczypnął Maniek.

Umieszczanie obcych powiedzonek w najmniej fortunnych miejscach było słabością Witka.

— Zbyszek, znasz Jole? — zmienił nagle temat.

— Owszem — mruknąłem w poduszkę.

Istotnie poznałem gdzieś w karnawale przemile dziewczątko z chłopięcą grzywką. Nie spuszczała oczu z Witka. On włożył się za nią jak opętany od paru miesięcy.

— Kochasz się w niej? — spytał z ironią Klemens, zwolennik celibatu oficerów i nieprześlągnięty wróg kobiet, co dawało nam zawsze temat do niekończących się wycieczek na temat przypuszczalnego zdarzenia, które go tak usposobiło do nich.

— To jest zupełnie ludzkie i...

— ...wiosenne, chcesz powiedzieć — dorzucił Kajtek.

Wrócił w międzyczasie i nie miał już nic przeciw prowadzeniu rozmów. Nic dziwnego. Pies na kobiety. Zresztą... przez otwarte okna wpada fala czystego powietrza, na niebie wisi złota lampa Aladyna, niedługo będą pierwiosnki i fijołki i słowiki i tennisi i lody i rendez-vous na Bydgoskim Przedmieściu.

— Może ją nawet Kocham.

— Hm — westchnął przejmująco Kajtek.

— W każdym razie bardzo ją lubię i żyję tylko dwoma dniami w tygodniu: środą i niedzielą, bo wtedy mogę wyjść do miasta i ją zobaczyć.

Klemens chrapał na serjo, jego to nie nie obchodziło. Pochwaliłem w duchu Mańka, który mu okręcił głowę kocem. Bo chociaż żywiliśmy głęboki żal do Witka, to jednak... wiosna. Co tu dużo mówić.

— Do Wielkiejnocy zostało kilka dni, na święta jędę do domu, potem znowu parę tygodni w koszarach i kiedy ją zobaczę niewiadomo. Po maturze wyjeżdża z Torunia.

Kajtek znowu westchnął. On najlepiej potrafił się w takich wypadkach wczuć w położenie opowiadającego.

— Rozumiecie jak mnie zależy na tem, by móc korzystać z wychodzenia do miasta. Na samą myśl o tem, że miałbym jej w środę nie zobaczyć, drzę jak... jak...

— ...liść osiki — dorzuciłem łaskawie.

— Właśnie. Dziękuję. A teraz będąc komendantem sali mam sto razy więcej szans do wpadnięcia do raportu, niż dotychczas.

— Trzeba było zaraz tak mówić, a nie wygłupiać się — warknął Maniek.

— Myślałem, że nie rozumiecie...

— Ech, w imieniu sali oświadczam ci...

Lrzwi otworzyły się z hałasem. Jaskrawe światło ukłuło oczy. Nic nie pomogło zespołowe chrapanie.

Podpinka pod brodą. Brzęk szabli. Chodził z piętnaście minut. Wykluczone, żeby mógł znaleźć jakąś usterkę, przecież Witek pół godziny sprawdzał.

— A to czyje buty? Dlaczego ostrogi nie zdjęte? A to podchorążego. I to podchorąży jest komendantem sali? Jutro do raportu! —



Światło zgasło. Panowała śmiertelna cisza. Nawet Kaczor nie szczerkał zębami.

Witek zaabsorbowany skontrolowaniem naszych porządków zapomniał wyczyścić buty i zdjąć ostrogi. To, że był komendantem sali, było oczywiście okolicznością obciążającą.

SIERADZKIE PISANKI

Pannie Irenie J. z pod Sieradza poświęca te nowelę autor

Nastrój panował naogół dość ponury. Ja po ostatnich manewrach zimowych nie mogłem wyzbyć się kataru. Kichałem około trzystu razy na dobę i to w najmniej sprzyjających okolicznościach, tak, że na podstawie specjalnej uchwały sali wolno mi było sypiać tylko w masce gazowej — natomiast Barnaba stawał do raportu w sprawie opryskliwego zachowania się w stosunku do osoby szefa, co spadło ciężką chmurą na jego humor.

W kasynie pachniało smażoną cebulą i z kuchni dochodził sześć talerzy. We drzwiach wisił jeszcze rozgwar cichnących rozmów, ale nam nigdzie nie było śpieszno. Terazniejszość była smętna, a przyszłość wydawała się ciemną, wielką próżnią, o której straszno było myśleć. Muszę do tego dodać, że radio akurat rozpoczęło milutki odczyt o przepisowem urządzaniu jam kompostowych, a o szyby bębnił rzeźwy deszczyk grudniowy spływając po szkle, niby lzy po złamanem sercu.

Barnaba z gorzkim uśmiechem niechętnie przewracał kartki ilustrowanego pisma kinowego, a ja łamałem skołatana głowę nad jakąś wścieklą krzyżówką.

— Jak będzie inaczej „melancholja“? — zapytałem nie podnosząc głowy:

— Schizofrenja wystarczy ci? — mruknął.

— Nie... sześć liter.

— No, to nostalgja.

— Mówię ci, że sześć liter.

— Aha... spleen.

— Spleen — powtórzyłem — hm, lepiej byłoby „handra“.

Barnaba uśmiechał się krzywo i spojrział zukosa.

— Najlepiej byłoby „cholera“ — powiedział sycząco i zajął się nanowo przewracaniem kartek.

Kichnąłem kilka razy i oddałem się marzeniom o jakiejś niesłychanej, niebywalej szalonej przygodzie. Piękne kobiety, olbrzymie bogactwa, wielka siła i wdzięk nieodparty, wyścigi samochodów, walka z arabami, mistrzostwo świata w boksie, drapieżna zemsta nad wrogami, egzotyczne podróże i to wszystko na spółkę z Barnabą — zaszumiło mi w głowie, ułożyło się w barwną mozaikę — i zgasło.

— Coś mi się zdaje, że już niedługo pociągniesz — oświadczył Barnaba i spojrzął na mnie z troską — trzeci raz do ciebie mówię, a ty siedzisz, jak epileptyk... przeczytaj.

Wziąłem pismo do ręki i przeczytałem anons zakreślony czerwonym ołówkiem:

„Dwie młode ziemianki: Alicja — blondynka i Jadwiga — brunetka, pragną nawiązać korespondencję z miłymi, wesołymi chłopcami. Pierwszeństwo podchorążowie“.

— Wszystko się zgadza — orzekłem po chwili namysłu — tylko po pierwsze, kto tutaj jest miły i wesoły, a po drugie kto tak tę gazetę pokreślił i pobrudził?

— Obydwa roczniki już trzeci dzień robią sobie z tego ogłoszenia odpisy — wyjaśnił Barnaba.

— No, to nie mamy żadnych szans... za dużo jest magików.

Na drugi dzień wieczorem patrzył zażawionym wzrokiem po nas.

— Dostałem 28 dni zet o ka. Wszystko przepadło i to tak... à la fourchette.

Toruń SPart. pchor. Zbigniew Zajączkiewicz
ilustrował pchor. Jan Loga.

Barnaba wzruszył jednym ramieniem, wyciągnął wieczne pióro i z portfelu pięknie złożony kawałek niebieskiego, welinowego papieru.

— Pisz! — powiedział kategorycznie.

„Szanowne Panie — napisałem — jestem stary, schorowany człowiek. Mam długą, siwą brodę. Jeszcze na wojnie tureckiej kula oberwała mi lewą nogę. Listy do Pań, będą jedynym, jasnym promieniem w moim samotnym życiu“.

— Doskonale — pochwalił Barnaba — nie takiś znowu warjat, jakby się zdawało.

Po trzech dniach przysłała odpowiedź na poste-restan.e:

„Kochany Panie — pisały dziewczątka — otrzymałyśmy 837 listów, z których odpowiadamy tylko na dwa bo reszta do niczego. Ogromnie współczujemy Panu i gotoweśmy uczynić wszystko, aby Pan nie czuł się samotny i cierpiący. Wobec tego, że jest bardzo brzydka pogoda, błagamy, aby Pan się pilnował i nie wychodził na wilgotne powietrze. Wyszywamy dla Pana szalik, który niedługo nadeślemy tymczasem niech Pan chociaż brodą osłania szyję“.

Odrązu melancholja nasza minęła, jakby kto nożem uciął. Barnaba pogodził się z szefem, ja przestałem kichać, co wpłynęło na nową uchwałę sali zezwalającą na sypianie bez maski gazowej.

I tak trwała nieprzerwanie dziwna korespondencja, gdzie z jednej strony dwie nieznanne dziewczyny spod Sieradza otaczały troskliwością i czułością starego inwalidę, opisywały swoje życie na wsi, zwierzały się z wszelakich powikłań sercowych, zapytywały o rady i wskazówki; z drugiej strony stary, doświadczony pan pisał dużo o swoich gorzkich przeżyciach z dalekiej przeszłości, gromił obyczaje, udzielał zbawiennych wskazań życiowych i uskarżał się na ischias i podagrę.

Na wiosnę korespondencja nasza przybrała wybitnie na ciepłym kolorycie. Alicja chorowała na grypę, posłałyśmy więc jej pudełko czekolady — natomiast ja prócz ciepłego szalika otrzymałem jakąś murzyńską maskotkę od nieodmagań starości i czterolistną konieczynkę z zielonych szkielek — na szczęście. Potem wymieniłyśmy fotografie. Posłałem ostatnie zdjęcie Bernarda Shawa, a one dwa fotosy z których wynikało, że jedna jest w stylu Marleny Dietrich, czyli wamp — a druga w stylu Lyi de Putti, czyli miłym staruszkim, dziadziusem, gołąbeczkiem, a ja — promyczkami, pierwiosnkami, skrzakami. Czułem, że czasami bardzo żałowały, że nie jestem trochę młodszy, ale na to nie było rady.

Nawet Barnaba nabrał do mnie wielkiego respektu. Rozmawiał z czcią i szacunkiem należnym mojemu wiekowi, a ja na manęzu przed środkową chyrdą i boczną pinerolą błogosławiłem go drżącą ręką.

Jakoś przed świętami otrzymaliśmy list od Alicji:

„Kochany Panie Adamie — pisała — czekamy na Pana w Budkowie. Szykujemy lekkostrawne święcone, jak również rumianek i miętę. Wiemy, że nie



„...Posłałem ostatnie zdjęcie Bernarda Shawa...”

uczyni nam Pan zawodu. Niestety, rodzice prawdopodobnie będą zmuszeni wyjechać do krewnych, natomiast my obiecujemy kłiwą opiekę i spokój. Odpocznie Pan u nas i sił nabierze”.

Poczem następował szczegółowy opis drogi kolejowej lub kołowej z podaniem wszelakich godzin, znaków szczególnych i t. p. — zupełnie, jak dla dziesięcioletniego idjoty, o rozmięczonym mózgu.

Barnaba po przeczytaniu tego listu zaniemówił na dobre trzy kwadransy i tak już w milczeniu poszliśmy na pocztę, gdzie nadałem depeşe:

„Przyjeżdżam z wnukiem w Wielką Sobotę”.

— No bracie — powiedziałem do Barnaby waląc go po ramieniu — nigdy nie przypuszczałem, że mieszaniec kanarka z ryżową szcزتką będzie moim wnukiem.

Barnaba uśmiechnął się sceptycznie.

— Przy naszym szczęściu — wyjąkał pełen nadziei — to będą zolży.

Byłem innego zdania.

— Szarga mi się — odpowiedziałem z pozorną obojętnością.

— Jak?

— Szarga mi się — powtórzyłem.

— Co to znaczy?

— Lekceważę!

Spojrzał na mnie tępo.

— Ty, jako sprawca ponosisz konsekwencje — wyjaśniłem.

— Ale, jak ty wybrniesz? — zapytał nieśmiało.

— Per aspera ad astra — odpowiedziałem wykrętnie, aby pozostał w niepewności — a w razie porażki zastrzelę cię własnoręcznie i bez żadnej litości, nawet nie ogłuszając cię przed tym ubojem — dodałem, poczem z dużą dozą wyniosłości zaprosiłem go na kawę do „Kujawianki”.

Zawdzięczając poważniejszemu subsydyjmu uzyskanemu po drodze od ojca, tylko do Łodzi jechaliśmy pociągami, a tam po zażartych targach wynajęliśmy taksówkę bardzo zbliżoną z wyglądu do prywatnego auta.

Barnaba dumnie rozpostarty na siedzeniu „przednim egipskim” w gębie, nonszalancko zapytał szofera:

— Panie, to pan teraz wie kto ja jestem?

— Tak jest proszę pana grabiego.

— No, to pamiętaj pan — przestrzegał.

— Tak jest panie grabio.

— Może chcesz zostać jakim markizem albo baronem? — zwrócił się do mnie z majestatycznym gestem.

— Szarga mi się — odparłem — jestem demokratą.

— Doskonale... to za mojego lokaja cię przedstawię.

— Wyrzeknę się takiego wnuka — groziłem — i wydziedziczę.

Tymczasem auto lekko kołysało, a za szybami wiosna pomalowała świat jasno-zieloną farbą, złotem i granatowymi kwiatami zarzuciła łąki, sfalowała ruń zbóż wesołym galopem przez przestrzeń, na wiśniach i jabłoniach różowe rozwiesiła sukienki, młode chmurki spędzała po błękitach do niebieskiej oweznarzi horyzontu. Przebiegały długimi smugami, jakież wioski i domki. Ruchliwymi czuprynymi kłaniały się drzewa — brzozy, lipy, topole.

W Łasku piliśmy wódkę dla animuszu. Przecucia milczały i stąd wyobraźnia w żadne karby nie ujęta rozsnuwała tysiączne obrazy bliskiej niespodzianki — a za Łaskiem — ciepłem, jasnym powietrzem smagała nas w oczy — wiosna, dech zapierała, świadomość gasiła, we krwi zwycięskim hymnem śpiewała — wiosna zmartwychwstała, zawsze upragniona, uroczą.

Pijani dziecinną radością, nie mającą innego usprawiedliwienia, jak tylko w pięknym świecie, który nas otaczał, jak tylko w naszej młodości i bliskości nowej, nieznannej przygody już prawie o zmierzchu mijaliśmy Zduńską Wolę, pełni podniecenia i oczekiwania, rojąc niezliczoną ilość domysłów i przypuszczeń.

— Gdzie jest Budków? — zapytaliśmy jakiegoś przechodnia po drodze.

— A, o tam zaraz... gdzie ta lipowa aleja od szosy i światła widać.

Skręciliśmy. Serca były nam trwożliwie. Parkan z siatki drucianej ginący wśród zieleni krzewów — i okazało się, że pojechaliśmy inną drogą wiodącą do folwarcznych zabudowań. Jakiś drab z wielką wrzawą przelazł przez ogrodzenie.

— Nie tędy, proszę panów, nie tędy — darł się — tylko tamtędy.

Zawróciliśmy. Wielki klomb z fontanną pośrodku. Czerwony, mурowany dwór. Ganek z kolumnami, obrośnięty winem. Wszystko przepisowo. Na schodach z 10 osób służby odświętnie ubranej i pośrodku dwie dziewczęce figurki w powiewnych szatkach.

— No, Babuś — szepnąłem — trzymaj się!

— Matko Święta — szcزتką, ale już nie więcej nie powiedział, gdyż chociaż uczuciowy, bardzo jest ponury i milczący typek z tego chłopca.

Kiedy wygramoliliśmy się w całej naszej eleganckiej i zdobyczej okazałości, jedna figurka krzyknęła „Och”, druga „Ach”, schwyliły się za ręce i z piskiem znikły w obszernej wnętrzu oświetlonego hallu, natomiast na ganku pozostała okazała matrona o siwych włosach i surowym wyrazie oblicza.

Barnaba wydawał się bardzo skonsternowany i stał obok auta, jak niedokończony symbol niepewności.

Podszedłem śmiało do starej damy, pomimo jej ociągania się emoknąłem szarmancko w rękę, stuknąłem ostrogami i zagałem zgodnie z zawczasu przygotowanym planem:

— Szanowna Pani... pan Adam będąc ciężko chorym uprosił nas (tutaj zaciąłem się) abyśmy w jego imieniu... mieli zaszczyt... złożyć nasze świąteczne uszanowania.. (tutaj znów się zaciąłem) właściwie nie uszanowania — ratowałem sytuację — tylko życzenia... i właśnie w tym celu pozwolił sobie przysłać tutaj nas... i wogóle mnie... i tego pana — wskazałem ręką na Barnabę — bo to jest jego wnuk.

— Wnuk pana Adama? — Powtórzyła zdziwiona — proszę... proszę... niechże panowie będą łaskawi.

Pierwsze lody zostały przełamane, a reszty dokonała staropolska gościnność. Dostojna pani, która, jak się okazało była ciotką Alicji, wspomniała coś o jakimś poręczniku huzarów, potem zatroskała się o zdrowie pana Adama zasypując Barnabę poważną ilością pytań na temat: co mu jest, jak to się objawia, jak wygląda, jak mieszka, czy ma jeszcze rodzinę, jak się nazywa rodzina i gdzie się znajduje? Barnaba poczerwieniał, spotał i wil się, jak piskorz na patelni. Przyszedłem mu z pomocą oświadczając, że stan zdrowia pana Adama jest beznadziejny i lekarze nie rokują mu więcej niż miesiąc życia.

— Biedne dziecko — szepnęła czule spoglądając na Barnabę i zaraz zapalała większą ilością sympatii, zapraszając nas z hallu do salonu.

Odwróciłem się, aby lekko pęknąć ze śmiechu. Barnaba tak jest podobny do biednego dziecka, jak podobna jest, powiedzmy, cytryna do słońca.

Po pewnym czasie, kiedy z ciotką zawarta została już nieomal przyjaźń, ukazały się wyświeżone, zaaferowane, trochę zaleknione panny.

Nie mogę obszerniej opisywać tej sceny, gdyż na jedno wspomnienie serce pęka mi z żalu. Dość powiedzieć, że zakochałem się w Alicji od pierwszego wejrzenia.

Czy była ładna?

To jest kwestja gustu. Dość wysokiego wzrostu, pięknie zbudowana, o złotawej cerze, błękitnych oczach i olśniewająco białych zębach. Nosek trochę zadarty. Usta zaszerokie, czerwone i foremne. To jest wszystko, zresztą, bez znaczenia — ale to jakieś promieniowanie, co z niej biło, ten żywioł, rozmach, gest. Wspaniała dziewczyna!

Stałem długo olśniony, niezdolny do wymówienia słowa. Dopiero Barnaba wyjaśniał sytuację przedstawiając mnie, jako cesarza kanarków, co niby miało charakteryzować moje władze umysłowe.

Kiedy oprzytomniałem ciągle czułem tętniące serce w piersi i jakoś dziwnie straciłem cały swój wigorek. Byłem onieśmielony, zawstydzony i ponad wszelki wyraz szczęśliwy.

Za oknami wiosna pulsowała nowymi sokami życia. Pąki rozwijała, kwiaty rozkwiecała, złotemi gwiazdami mru-gała — a tutaj taka dziewczyna, co jakby z tej wiosny wyszła — kwiatom i gwiazdom podobna. Mój Boże!

Dużo było zdarzeń tego wieczora i noej pamiętnej. Szofera posyłałiśmy dwa razy do Sieradza po wódkę. Służbę spiliśmy w drobny mak, tak, że dobra ciocia tylko ręce załamywała. Skonsumowaliśmy nietylko całe święcone przyszykowane dla wszystkich normalnych ludzi we dworze, ale nawet pana Adamowe serniki, kutie migdałowe i biskoptowe mazurki. Wypiliśmy niezłą ilość alkoholu i to do tego wszystko „w kratkę”, mieszając śliwovice i jarzębiaki z oryginalnymi tokajami i seternami. Pod granie ciotki na fortepianie i niezłe płyty gramofonowe, tańczyliśmy szaleńcze mazury i jakoweś fantastyczne czardasze, a potem bez miary i końca czarowne tanga, upojne bostony i walce angielskie. Dopiero jasny, słoneczny dzień Wielkanocy, co złotem wypełnił wszystkie pokoje, zapędził nas do spania.

Gdy zamknę oczy, jeszcze w tej chwili widzę długą postać Barnaby, układającą się w tańcu w przedziwne łamańce, jakąś formistyczną geometrię ruchów i kształtów. Doskonale pasuje do niego Jádzia — misterna czar-nulka, taki filigranowy breloczek, co można za

pasem nosić, zamiast sczyryka. Jest ładna. Obiektywnie biorąc ładniejsza od Alicji, ale od mojej Ali niema piękniejszej na świecie. Widzę, jak ciocia przymyka dobrotliwie zmęczone oczy na różne nasze drobne wykroczenia przeciwko konwenansowi.

Wychodzimy na chwilę do ogrodu. Pełne pąki jutrenkowych promieni lecą palając i jak mi się zdaje śpiewając pieśń wschodzącej miłości. Pod kwitnącą wiśnią bardzo nieśmiało i drżąc całują. Ale i nie śmiem jednego słowa powiedzieć, aby nie sproszyć tego — snu.

Śpimy w jednym pokoju z Barnabą. Coś mruczy świągotliwie.

— Czy to ci w brzuchu tak bulgoce? — pytam.

— To ci heca — odpowiada i momentalnie usypia uśmiechnięty.

Budzą mię pachnące, chłodnawe krople. Całe mnóstwo kropel. Cała ulewa. Burza. Otwieram oczy — to Ala przez okno rzuca garściami fjołki.

Jedziemy do kościoła. W kolatorskich zasiadamy ławach. Cały kościół patrzy. Wąsate, opalone, jasnookie twarze. Technienie ziemi czerstwej i błogosławiącego słońca. Świętych Pańskich rozmodłone oblicza.

Przy mnie Alicja. Oddechy jej chwytam, uderzenia serca liczę i razem z tętniącymi naszymi sercami bić zaczyna dzwony.

Dzwony... dzwony... dzwonki i dzwoneczki. Chwała miłości nieśmiertelnej, chwała miłości zmartwychwstałej, chwała wiośnie, co z Wielką przyszła Nocą.

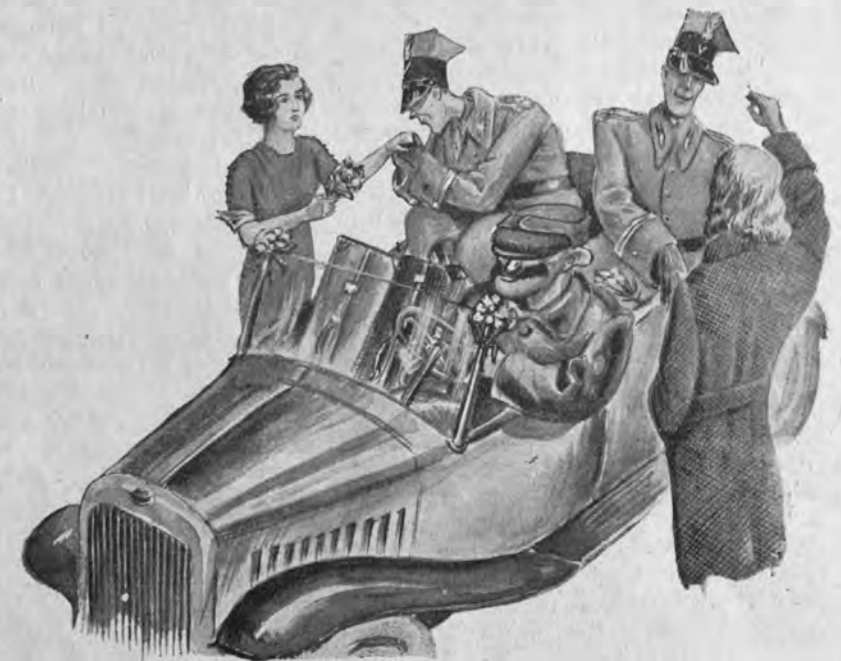
— Alleluja — grzmi kościół — Alleluja — hu-czą dzwony — Alleluja — ufne, ludzkie śpiewają serca.

Po dwóch dniach odjeżdżaliśmy ukwieconem autem bardzo smutni. Zabieraliśmy ze sobą wspomnienie czarujących chwil i obraz milczących, wstydlivych łez pożegnania, co szkliły się w oczach dziewcząt.

A z tych sieradzkich pisanek cośmy dostali na pamiętkę, to potem w szafce Barnaby wylęgły się pisklęta, bo obok szafki jest kaloryfer.

O wspaniałym pogrzebie, jaki wyprawiliśmy zacnemu panu Adamowi, napiszemy przy innej okazji.

Adam Ostoja.



CO CZYTAĆ?

F. A. Ossendowski — „Puszcze Polskie“ — Wydawnictwo Polskie — R. Wegnera, Poznań, 1936 r.

Znakomity podróżnik i pisarz F. Ossendowski, autor wielu opisów podróży egzotycznych — dał nam nowy opis jednej z najbardziej dla nas egzotycznych krain, jaką stanowią dla nas wielkie puszcze polskie. Jakże niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego przepięknego uroku puszczy europejskich — największego kompleksu puszczy europejskich, które przetrwały do naszych czasów. Jakże nieliczne są jednostki, które puszcze te widziały i poznały. Autor stawia sobie jako zadanie niniejszej książki dać szerokim rzeszom młodzieży i turystów „bodziec do głębszego poznania i umiłowania puszczy polskich, do zrozumienia znaczenia ich dla państwa i obudzenia szlachetnej dumy, że wszędzie tu przetrwała polskość, uosobiona w cichych dworach i chatkach ludzi pracowitych, a niezłomnych jak stare, rozłożyste dęby puszczańskie“.

Zadanie to książka niniejsza spełni niewątpliwie. — Autor przedstawia nam obszerny materiał, który zebrał jako podróżnik, myśliwy i przenikliwy badacz naukowy. Znajdujemy tu obok pięknych opisów niezrównanego krajobrazu puszczańskiego, wyczerpujące wiadomości z dziedziny historii puszczy i dziejów Polski z niemi związanych, z dziedziny etnografii, opisy życia Mazurów, Kurpiów, Biało- i czarno-Rusinów, zamieszkujących obszary puszczy, wreszcie opisy fauny i flory leśnej. Całość daje nam pełny obraz najszybszych największych puszczy — Białowieskiej, Świsłockiej, Augustowskiej, Knyszyńskiej Zielonej i Białej.

Znakomitą treść książki uzupełniają piękne i liczne ilustracje i fotografie krajobrazów puszczańskich. Książkę niniejszą, obok innych dzieł serji „Cuda Polski“ zaliczyć należy do rzędu najpiękniejszych i najbardziej wartościowych wydawnictw polskich. J. S.

Konrad Wrzos. — Wulkany Europy. Austria — Węgry — Bałkany. — Tow. Wyd. „Rój“ Warszawa, 1936 r.

Reportaż jest dziś bardzo popularną formą pisania w literaturze i w publicystyce. Bezpośredniością i żywością ujęcia tematu wywiera mocne i sugestywne wrażenie na czytelniku. Oczywiście o stopniu jego wartości decydują właściwości indywidualne samego reportera, jego inteligencja, znajomość przedmiotu, styl. Nic więc dziwnego, że niewielki jest zasób nazwisk reporterów o międzynarodowym rozgłosie. Możemy odczuwać jednak słuszną zadowolenie że w liczbie ich figuruje również nazwisko utalentowanego polskiego dziennikarza Konrada Wrzosa, którego reportaże polityczne zyskały w Polsce i zagranicą duży rozgłos, o czym najlepiej świadczy wielość wydań jego książek w tłumaczeniach francuskim i czeskim.

Że sława reporterska Wrzosa jest w zupełności uzasadniona można się łatwo przekonać biorąc do ręki którąś z jego książek. Warto zwłaszcza zapoznać się z ostatnią, która ma niełatwe zadanie wyjaśnienia czytelnikowi szeregu zagadnień politycznych dzisiejszej Europy, do najbardziej skomplikowanych spośród których należy niewątpliwie odwieczny problem kotła bałkańskiego.

Jugosławia, Bułgaria, Grecja to zarazem zagadnienia polityki i ścierających się wpływów międzynarodowych przy jednoczesnym skomplikowaniu sytuacji wewnątrz poszczególnych z tych państw. Jątrząca wszystkie te trzy państwa kwestja macedońska (wkraczająca nawet w sferę stosunków jugosławiańsko-węgierskich — zabójstwo króla Aleksandra), rozbieżności serbsko-chorwackie, dążność do zacieśnienia zbliżenia Jugosławii z Bułgarią — te odległe od nas problemy w treściwym i jasnym ujęciu Wrzosa dają nam te nie-

zbędne elementy do wyrobienia sobie zagranicznego „światopoglądu“ politycznego.

Wyczerpująco i nadzwyczaj interesująco, z wyciągnięciem trafnych a wnikliwych wniosków przedstawił Wrzos naistotniejsze zagadnienia państwowe Austrii i Węgier, naświetlając nawet dyskutowaną w gabinetach dyplomatów, ewentualność unji obu tych państw.

Przyznać trzeba, że każdy inteligentny czytelnik, chcący uzupełnić zasób swych wiadomości z zakresu polityki międzynarodowej znajdzie w książce Wrzosa bogactwo materiału, a że podany on jest w pierwszorzędnej formie literackiej i z dużą żywością stylu, zapoznanie się z nim łączy przyjemność z pożytkiem.

T. Ż.

Janusz Meissner i Tadeusz Milewski. „W krainie lęku i pragnienia“. Książnica-Atlas. Lwów-Warszawa.

Przed rokiem, mniej więcej, ukazała się pierwsza książka tych autorów, będąca ciekawym opisem krajów, ludności i jej zwyczajów Afryki Centralnej, a zwłaszcza Sahary, dziś mamy w rękę niejako dalszą część podróży autorów przez piaszczyste bezdroża. Różni się ona jednak tem od książki poprzedniej, że stanowi zbiór szeregu ciekawych opowiadań osnutych na tle autentycznych zdarzeń.

Interesujący opis komunikacji handlowej poprzez piaszki Sahary przy pomocy długich sznurów wielbłądzych karawan dążących pod eskortą wojskową po cenną sól, daje jednocześnie obraz bohaterskiej i ciężkiej służby kolonialnych wojsk francuskich, narażonych na każdym kroku na podstępą i nienitostliwą zemstę krajowców. Pełnym ekspresji jest rozdział poświęcony Legji Cudzoziemskiej (mowa jest w nim również o kilku Polakach, służących w Legji). Jej ciężkie walki i służba bez wytchnienia, na każdym kroku grożące niebezpieczeństwem i okrucieństwem krajowców, wytwarzają wysokowartościowy typ bojowego żołnierza, śmiałego i przedsiębiorczego, uważającego bohaterstwo za coś naturalnego i mimo wszystko, przelaną krwią mocno związanego ze sztandarami Legji.

Pełen wschodniego romantyzmu jest opis miłości Fatmy i Harun ben Messauda, a rozdział poświęcony Marokku i walkom Maurów w obronie niepodległości pozwala zorjentować się w trudnej sytuacji politycznej Marokka.

Książka stanowi lekturę wyjątkowo miłą i ciekawą, odznacza się czystością i barwnością stylu.

Świat i życie. Zarys encyklopedyczny Współczesnej wiedzy i kultury. — Książnica — Atlas. Lwów—Warszawa.

Już niejednokrotnie zwracaliśmy na tem miejscu uwagę na to jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo i na jego dużą wartość użytkową.

Popularyzatorskie ujęcie najważniejszych tematów przez wybitnych specjalistów nadaje temu wydawnictwu charakter czegoś bardzo przydatnego zarówno dla młodzieży, jak i dla starszych. Wspomnieć należy, że w lutym ukazał się specjalny zeszyt „Świata i życia“ poświęcony Polsce zarówno pod względem geograficznym, gospodarczym, etnograficznym jak i kulturalnym oraz historycznym. Zeszyt ten w syntetycznym ujęciu daje dokładny i wszechstronny obraz Polski dzisiejszej i historycznej.

Nazwiska profesorów: Romera, St. Zakrzewskiego, K. Nitscha, J. Krzyżanowskiego, Z. Lempickiego, J. Lewińskiego i innych jako autorów artykułów zamieszczonych w tym zeszycie mówią najlepiej za siebie i wydają dostatecznie wymowne świadectwo wartości samemu wydawnictwu.



FOT. J. MALARSKI

Wnętrze nowego sklepu projektował Inż. STEFAN JELNICKI

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

ZAWIADAMIA

że przeniosła swój lokal do nowego gmachu

FUNDUSZU KWATERUNKU WOJSKOWEGO

przy ul. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr. 11.

NA ŚWIĄTECZ- NYM URLOPIE



Redaktor Naczelny:
podchor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI
Zastępca Redaktora: podchor. J. SZPER



Sekretarz Redakcji: podchor. W. BRODZIKOWSKI
Kierownik artyst.: podchor. A. SIEMASZKO
Kierownik Administr.: podchor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji: Warszawa, Smolna 26/28. Administracji: W-wa, Nowy Świat 23/25 W. I. N. O.
Konto P. K. O. 26.720.

WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzurem: W. Bieliński, J. Błażejowski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Koziński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Koziulewski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Łaguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Milczarek, M. Mokrski, B. Nuszkowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajęzkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.